

P.520.009 chr. arch

BIULETYN INFORMACYJNY

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

NUMER SPECJALNY

Sándor Kopácsi

WĘGRY 1956

TRZYNAŚCIE DNI NADZIEJI



[1980]

Der Spiegel, nr 35, 27 VIII 1979

WĘGRY 1956: TRZYNAŚCIE DNI NADZIEI

Po raz pierwszy znana osobistość umożliwia głębsze poznanie grupy przywódców węgierskich rewolucjonistów z października 1956 r. Jest nią Sándor Kopácsi, ówczesny szef policji w Budapeszcie i członek Biura Politycznego KP Węgier.

Przez trzynaście dni Sándor Kopácsi próbował w zamęcie powstania narodowego wykonywać swe obowiązki, bądź w samochodzie służbowym wśród demonstrantów, bądź na czele grupy operacyjnej przed barykadami, bądź w swoim biurze, gdzie krzyżowały się meldunki ze wszystkich dzielnic miasta.

Dopiero o chłodnym poranku 5 listopada 1956 roku Kopácsi pojął bezsens dalszego pozostawania na swym posterunku. "Czegoś miałbym tu jeszcze oczekiwać? Nadzieja na stworzenie socjalizmu o ludzkim obliczu została zduszona ławą, którą wypłyły sowieckie działa".

Kopácsi postanowił przedrzeć się do ambasady jugosłowiańskiej, w której znalazł już schronienie premier Imre Nagy z najbliższymi współpracownikami. Ale nie zaszedł daleko. Kopácsiego schytali Sowieci i odstawili do prywatnego więzienia w ich własnej ambasadzie.

Półtora roku później, w lecie 1958 r. wytoczono mu, wraz z przywódcami powstania, proces. Akt oskarżenia zarzucał mu "bunt wojskowy", ale wyrok był stosunkowo łagodny - "dożywocie" Nagy i trzech inni zostali straceni.

Po siedmiu latach więzienia amnestia przyniosła Kopácsiemu wolność. Znalazł pracę jako tokarz, ukończył wówczas studia prawnicze. Władze uniemożliwiły mu jednak pracę w zawodzie prawnika i Kopácsi wyemigrował w końcu do Kanady.

Na Zachodzie znalazł się więc jedyny naoczny świadek, który jako uczestnik powstania węgierskiego obserwował jego tragedię i upadek "z łoża państwowej" - jak to sam określił w swej książce, z której "Der Spiegel" przedrukowuje najważniejsze fragmenty.

Sándor Kopácsi był nie tylko człowiekiem, który w policyjnej centrali obserwował na gorąco narastanie grozy. Utrzymywał on też bezpośrednią łączność z rządem, brał udział w ważnych rozmowach z ministrami i "sowieckimi doradcami". W końcu został powołany do Politbiura partii komunistycznej i wybrany zastępcą komendanta Gwardii Narodowej.

W ten sposób Kopácsi należał do kierownictwa reform, z pomocą którego miano stworzyć w niezależnym kraju Węgry bardziej wolnościową odmianę socjalizmu. Poza tym należał on do 10 oskarżonych, z którymi tak cynicznie, w formie tajnego procesu według stalinowskiego wzorca, rozliczyła się w 1958 r. Węgierska Republika Ludowa.

Kopácsi nie był zawodowym politykiem, ani tym bardziej teoretykiem komunistycznych reform. W policji znalazł się ten urodzony w 1922 r. syn metalowca, przez przypadek. Oddział partyzantów do którego zaciągnął się w 1944 r. został po zakończeniu wojny, wcielony do nowoutworzonych sił porządkowych.

Po przeniesieniu w 1949 r. do Budapesztu młody funkcjonariusz policji znalazł się w samym środku nabierającego rozmachu pochodu Węgry do komunizmu, który prowadził zdalnie sterowany z Moskwy stalinowiec Mátyás Rákosi.

To była niebezpieczna droga: eks-zwierzchnik Kopácsiego László Rajk został stracony jako agent Tity, a nieco później minister spraw wewnętrznych János Kádár, jako "titoista", został zamknięty na trzy lata w więzieniu. Kopácsiego wysłano do szkoły partyjnej, gdzie otrzymał "święcenia" do wyższych zadań.

W 1952 r. przywódca partii Rákosi poszukiwał nowego Szefa policji w stolicy. Kapitan Kopácsi spełniał wszystkie wymagania: nie był "Żydem" - w przeciwieństwie do Rákosiego - a ponadto mógł wykazać się proletariackim pochodzeniem.

Awansowany natychmiast do rangi pułkownika Ko-

Kopácsi pojął wkrótce, że dowódca policji na Węgrzech może działać wyłącznie w ściśle określonych ramach. W każdej naradzie brało udział dwóch sowieckich doradców, którzy wszystko pilnie notowali. Kopácsi umiał się jednak dogadać z towarzyszami sowieckimi.

Mniej pomyślnie rozwijały się kontakty z węgierską służbą bezpieczeństwa, osławioną "Alma Vedelmi Hatosag/AVH/. Do pierwszego starcia doszło, gdy pułkownik AVH zagnieździł się w prezydium policji i zażądał od Kopácsiego jego własnej sekretarki.

Kopácsi protestował u ministra spraw wewnętrznych, ten poradził mu jednak by zaniechać sporu. Młody szef policji wyniósł stąd naukę: "Służba bezpieczeństwa była faktycznie suwerenna, stała ponad partię i państwem." Szpieki AVH stale i bez skrupowania wyłapywali poliejantów Kopácsiego, nie uznając za stosowne zapoznać ich zwierzchnika z dowodami rzekomo ich obciągającymi.

Wydawało się, że 1953 rok przyniesie przełom. W lipcu, cztery miesiące po śmierci Stalina, Rákosi go wezwano do Moskwy, gdzie musiał wysłuchać cierpkich uwag z powodu antyludowego kursu swej polityki. Z polecenia władz w Kremlu, mianował Imre Nagy'ego premierem.

Jednocześnie Rákosi obiecał parlamentowi ukrócenie terroru AVH, polepszenie sytuacji ekonomicznej, drogę zmiany priorytetów inwestycyjnych a także więcej swobody dla chłopów. Wśród jego słuchaczy znajdował się Sándor Kopácsi, od wiosny 1953 r. sprawujący godność deputowanego. "Jak ogłuszeni - wspomina Kopácsi - poszliśmy do bufetu, bełkocąc coś ze szczęścia.

Wizyta u przyjaciela młodości, robotnika w jednej z fabryk, ściągająca Kopácsiego z obłoków na ziemię. Pracujący przy obrabiarce przyjaciel uświadomił mu rzeczywistość robotników węgierskich. Na miejsce kapitalistycznych wyzyskiwaczy przyszli nadzorcy partyjni, jeszcze gorsi niż ich poprzednicy. "Słuchaj Sándor - ostrzegł go przyjaciel - jeśli tak dalej pójdzie, to tylko patrzeć, jak popłynie krew."

Na razie jednak Nagy'emu udało się przeprowadzić przynajmniej część programu liberalizacji. Zniknęło kilku najbardziej brutalnych oficerów AVH, wiele ich ofiar zostało zwolnionych. Także dane było i Jánosowi Kádárowi pojawić się znów na scenie politycznej. W kwietniu 1955 - Kreml zadysponował odstąpieniem od łagodnego kursu. Nagy został zdymisjonowany, a nawet usunięty z partii.

Następny zwrot dokonał się, gdy Nikita Chruszczow przeprowadził na XX Zjeździe KPZR krytykę Stalina i wstrząsnął całym blokiem wschodnim. Pułkownik Kopácsi który przy całym podziwie dla Nagy'ego i jego prób reform, nadal uznawał Rakosiego za "ukochanego ojca narodu", pojął nareszcie, że węgierski Stalin nie wypełnia już roli przywódcy narodu".

Na pewnym zebraniu partyjnym, Kopácsi nie odczytał jak to było przyjęte, wcześniej napisanej mowy, ale mówił o nowej wiośnie partii. Wśród owacji towarzyszy zaatakował szefa partii: "Przyjaciele moi, towarzysze Rákosi popełnił błąd. Z tego miejsca wzywamy go: "Towarzyszu Rákosi, dokonajcie samokrytykę, może to już ostatnia wasza okazja!".

Rákosi nie miał już siły, by impertynenckiego policjanta zmusić do milczenia. Moskwa pozwoliła mu upaść, ale jego następcą został równie zatwardziały stalinowiec Ernő Gerő. Jednakże na Węgrzech zapoczątkowany został już ruch, równie nie do powstrzymania jak klęska żywiolowa. Latami wzbierająca nienawiść całego narodu do jego dręczycieli parła do wybuchu.

Der Spiegel nr 35,36,37 - 1979/fragmenty książki/
"TOWARZYSZE, ONI NAS WYSTRZELAJA"/Genossen, sie knallen uns ab/

Wtorek 23 października 1956 roku był ostatnim z pięknych, słonecznych dni. Dzisiaj wcześniej wróciliśmy z wakacji.

W prezydium policji powitał mnie mój adiutant wzrokiem pełnym wyrzutów. "Telefony bez przerwy

dzwonią, każdy chce z wami rozmawiać. Towarzysz Horváth prosi o natychmiastowy telefon."

Horváth był szefem gazety partyjnej i zastępcą członka Politbiura. Zadzwoniłem do niego, jego głos zabrzmiał gniewnie: "Czemóż to policja w tak poważnym momencie stroi sobie żarty i prowokuje tłum?"

Jakbym sfrunął z obłoków. Co za poważny moment? Jakie prowokacje? Wiedziałem, że młodzież się "gotuje". Studenci rozdawali ulotki zapraszające młodzież akademicką na wyznaczoną na 23 października manifestację dla wyrażenia solidarności z gomułkowską Polską.

Poprosiłem Horvátha o bliższe wyjaśnienia. Podniecony powiedział mi, że na ulicach pojawiły się "duże oddziały konnej policji".

"Konnej policji" nie mieliśmy. Nie mogąc niczego pojąć, zadzwoniłem po wiadomości do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zastępca ministra był równie jak ja zdumiony. Nagle wybuchnął śmiechem: "Już wiem, to są ćwiczenia szkoły policyjnej".

Obiecał natychmiast odkomenderować jeźdźców do szkoły. "Poza tym - powiedział - minister chce pilnie z wami porozmawiać. Przyjedźcie tu szybko ale nie po cywilnemu jak to było ostatnio. To nie jest mile widziane."

Minister Spraw Wewnętrznych Piros, był w kiepskim humorze. Był praktykant masarski, w moim wieku, nie miał specjalnych powodów by mnie lubić. Moje sympatie dla Kádára, podziw dla Imre Nagy'ego - wszystko to nie bardzo mu się podobało.

"Kopácsi, wasi przyjaciele nawarzyli nam tu ładnego piwa - naskoczył na mnie.

"Towarzysz minister ma na myśli demonstrację? Według raportów byli to komunistyczni studenci, którzy wzywali do udziału w manifestacji."

"To możecie opowiedzieć swoim towarzyszom". Potem otworzył drzwi pokoju konferencyjnego. Witając się z pięcioma wiceministrami zauważyłem, że krzesło na którym zwykle siedział sowiecki doradca Je-

mielianow, było puste.

: Zaraz potem wkroczył minister Piros z nim jakiś nieznajomy w cywilu: niski, wyglądający na sprytnego, człowiek. Ze swymi niebieskimi oczami, blond włosami i pewnym siebie spojrzeniem przypominał mi w jakiś sposób niemieckich oficerów, nadzorujących fabrykę w której w czasie wojny produkowaliśmy dla nich armaty.

Minister przedstawił go: "Towarzysze to nasz nowy towarzysz doradca sowiecki. Przyjechał prosto z Moskwy".

Pozdrowiliśmy go, a on mrugnął oczami na powitanie, Minister otworzył posiedzenie.

"Zaprosiłem towarzysza szefa policji stolicy by nam wyjaśnił, jak zamierza zachować się wobec nadchodzących wydarzeń. Jak wiecie, dziś rano zakazałem przez radio demonstracji."

Wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie.

"Chciałbym zacząć od pytania, towarzysze. Co zrobimy, jeśli demonstracja, mimo zakazu się rozpocznie?"

Chwila milczenia, minister macha niecierpliwie ręką: "Wy, towarzyszu pułkowniku jesteście od tego, by na to pytanie odpowiedzieć."

"A więc dobrze. By przeszkodzić demonstracji, trzeba mieć odpowiednie wyposażenie. Policja Horthy'ego miała przed wojną gumowe pałki, my takich nie posiadamy. Jego konna policja mogła rozprzeszyć tłum, niktogo przy tym nie zabijając. My nie mamy konnej policji, jedynie uczniów jeździeckich. Nie mamy nic innego jak tylko broń palną."

"Tarabin ma, o ile wiem, kolbę, przerwał mi minister."

"Przypuśćmy, że uderzeniami kolb studentów nie rozpędzimy. Przypuśćmy, że stawiają opór, albo że będą nawet napastliwi. Wtedy zaczną się strzelać. Tak jest, towarzyszu ministrze. Kto przyjmie odpowiedzialność jeżeli poleje się krew i będzie może wiele ofiar?"

Minister zmarszczył czoło: "Mówcie, co o tym myślicie". "Towarzyszu ministrze, ludzie domagają się rozwiązania kryzysu politycznego". Minister gniewnie się skrzywił, nowy sowiecki doradca mrugnął zno-

wu/. "Nie jest słuszne powierzanie policji rozwią-
nia problemów politycznych. Nie pochwalam waszego zaka-
zu demonstracji i chętnie bym się dowiedział, czy
najwyższe władze partyjne znają sytuację i co o
niej sądzą."

Minister z trudem powstrzymał wybuch wściekłości.
"Poinformowałem towarzysza Gerő i właśnie w tej
chwili biuro polityczne zajmuje się sprawą zakazu
demonstracji."

Ciepło zabrali kolejno wiceministrowie i poprosili
swego szefa, by ich zwolnił od odpowiedzialności za
wydanie zakazu i by tą sprawą zajęły się wyższe in-
stancje partyjne. Piros pomaszerował więc do "czer-
wonego telefonu". Sekundę później miał już połącze-
nie z pierwszym sekretarzem partii Gerő i przekazał
mu moje stanowisko.

Po krótkiej przerwie usłyszeliśmy w słuchawce
skrzeczący głos Gerő. Rysy twarzy ministra wyglada-
ły się, napięcie ustąpiło miejsca rozluźnieniu i
wiernopoddaniu. "Tak jest towarzyszu Gerő, zrozu-
miałem, towarzyszu Gerő", wasze rozkazy zostaną natych-
miast wykonane, towarzyszu Gerő. "Biuro polityczne
uchwaliło zniesienie zakazu demonstracji. Decyzja zo-
stała bezzwłocznie podana przez radio.

Nagle ogarnęło mnie złe przeczucie. Wiedziałem,
że nie ma najmniejszej gwarancji, by wszystko dob-
rze poszło. Przed paroma miesiącami przez polski
Poznań przeciągnęło 50 tysięcy robotników, domaga-
jąc się chleba, wolnych wyborów i wycofania sowiec-
kich wojsk. Rezultat: 100 zabitych, 300 rannych, 300
aresztowanych. Strzelały oddziały polskiej służby
bezpieczeństwa.

Anonimowe ofiary wymogły jednak na Sowieciach
pewne koncesje. W miesiąc później polskie kierow-
nictwo zganiło służbę bezpieczeństwa i wyciągnęło
byłego szefa partii Gomulkę z więzienia. Na Wę-
gzech zaczyna się teraz nazywać Imre Nagy'ego "wę-
gierskim Gomulką".

Z rozmyślań wyrwał mnie nagle mój szofer Gyuri,

"Dokąd jedziemy towarzyszu pułkowniku?" - Jedźmy my za pochodem demonstrantów" - zadysponowałem.

Studenci maszerowali w całkowitym porządku, większość udekorowała się kokardką z naszymi barwami narodowymi czerwono-biało-zielonymi. Niektórzy niesli sztandary, inni transparenty z pozdrowieniami dla zaprzyjaźnionej Polski i różnymi żądaniem w rodzaju: "Stypendiów, z których można żyć.", "język rosyjski nie jako przedmiot obowiązkowy!", "Zdemokratyzować partię!", lub "Imre Nagy do władzy!" Na kilku transparentach widniało wprost: "Rosjanie do Rosji!".

Jechaliśmy bulwarem naddunajskim, przy którym rozlokowane są koszary szkoły oficerskiej. Przyszli dowódcy kiwali przyjaźnie demonstrantom i podchwytywali ich hasła.

Nad koszarami powiewała wielka węgierska flaga, ale takiej flagi jeszcze nigdy nie widziałem. W miejscu, gdzie powinien być emblemat republiki ludowej, - według wzorca sowieckiego, zaprojektowany podobno osobiście przez szefa partii Rakosięgo - znajdowała się dziura.

Kandydaci na oficerów wycięli emblemat. Flaga przedstawiała więc tradycyjny węgierski tricolor bez jakiegokolwiek wskazówki na temat przynależności politycznej naszego kraju.

Nie wierzyłem własnym oczom. Demonstranci wzosili zwycięskie okrzyki. Poleciłem kierowcy, by natychmiast zawracał do mojej kwatery głównej.

Czekał tam już stos meldunków. Dzwoniły wszystkie komisariaty /miałem ich w stolicy 21/ i prosiły o instrukcje. Najważniejsza wiadomość pochodziła z małego posterunku przy parku miejskim i głosiła: "Ludzie demolują Stalina, Proszę o natychmiastowe rozkazy. Porucznik Kiss, nr 3".

Zadzwońłem bezzwłocznie na posterunek. Młody porucznik złożył raport: co najmniej 100 tysięcy ludzi zgromadziło się wokół pomnika Stalina!

"Ilu macie ludzi?" - "Dwudziestupięciu, towarzyszu pułkowniku."

"Przypuszczam, że nie macie zamiaru rozpuścić 100-tysięcznego tłumu 25 ludźmi?".

Kiss zwlekał z odpowiedzią. "Mamy 40 karabinów, towarzyszu pułkowniku" - powiedział wreszcie.

Wystarczyłby więc rozkaz, a był gotów strzelać do ludzi.

" Powiedzcie mi, co tam ludzie robią."

Zarzucili właśnie grubą linę stalową na szyję 25-metrowej postaci Stalina, inni nadjeżdżali ciężarówkami z butelkami kwasu i palnikami do cięcia metalu i zabierali się do butów z brązu.

"Widzicie, towarzyszu Kiss, to są fachowcy. Tylko robotnicy dysponują takim sprzętem".

Godzinę później statua spadła z cokołu na Plac Bohaterów. Nikt nie doznał obrażeń. Rok później w więzieniu na pytanie "za co cię zamknęli?" słyszałem niezliczoną ilość razy taką oto smutną odpowiedź: Jestem "rzeźbiarzem". Znaczyło to, że wyrok dotyczył udziału w obaleniu pomnika Stalina.

Dzięki dwunastu telefonom, dzwoniącym bez przerwy na moim biurku i patrolom policyjnym kursującym między miastem a prezydium, mogliśmy dość szybko rozpoznać się w sytuacji.

Po zdemolowaniu pomnika Stalina tłum udał się przed gmach parlamentu mając nadzieję, że usłyszy przemówienie Nagy'ego. Tu dowiedziano się, że Nagy nie może wygłosić przemówienia, ponieważ nie piastuje już żadnego oficjalnego urzędu, ani w partii, ani w rządzie.

Tłum nie dał się jednak skłonić do rozejścia. Kiedy pół miliona ludzi skanduje z desperacją nazwisko polityka, stojące wokół demy dźwięcznie trzęsą się. To jest coś jeszcze gorszego niż eskadra samolotów naddźwiękowych.

W tym czasie otrzymałem wiadomość, która zmroziła mi krew w żyłach. Pewna towarzyszka z posterunku policyjnego opodal parlamentu zadzwoniła do mnie: "Towarzyszu Kopácsi, słyszycie mnie bez zakłóceń?"

"Tak, myślę że tak. Mówcie o co chodzi".

"Towarzyszu Kopácsi, oni są na dachach."

Pojąłem, kto byli ci "oni". Bez porozumienia ze mną, minister spraw wewnętrznych polecił umieścić na dachach domów wokół parlamentu oddziały służby bezpieczeństwa, uzbrojone w pistolety maszynowe. Jeden pochopny rozkaz czy nieporozumienie i plac przed parlamentem zamieni się w pole bitwy.

Rzuciłem się do czerwonego telefonu. Ministra nie mogłem już złapać a z siedziby szefa partii przyszła odpowiedź: "Nie wolno przeszkadzać tow. Gerő, który przygotowuje swoje przemówienie radiowe."

Wkrótce przyszła wiadomość, że Imre Nagy został przez swych przyjaciół sprowadzony na plac przed parlamentem, gdzie wygłosił zaimprovizowaną mowę z balkoniu. Najważniejsze co powiedział to: "Cierpliwości, dobrzy ludzie! Idźcie do swych domów, partia zaprowadzi porządek." Rozległy się gwizdy, ale w końcu tłum się rozszedł...

W moim biurze pojawił się gość, którego z pewnością nie oczekiwałem - jeden z moich doradców sowieckich, starszy "Potofi". Wszedł z trudem powłóczęąc nogami, jakby był chory, i pozdrowił mnie bezbarwnym głosem: "Kak dzieła, Sándor, jak ci się wiedzie?".

Przyszedł, by rozeznąć się w sytuacji na miejscu i wysłuchać przemówienia radiowego I sekretarza węgierskiej KP. Towarzyszył mu tłumacz.

"Ten wasz Gerő to mądry człowiek i stary towarzysz. Chętnie przyznalibyśmy "Potofiemu" rację. Łagodzące, rozsądne słowa Gerő" mogłyby zdziałać cuda. Powinien tylko dokonać wedle polskiego wzorca samokrytyki, zapowiedzieć przywrócenie stanowiska Nagy'emu i proklamować jego kurs reform.

W moim biurze zrobiło się cicho. Usłyszeliśmy nieprzyjemny głos pierwszego sekretarza: "Drodzy towarzysze, drodzy przyjaciele, droga ludności pracująca Węgier! Mamy twardy, niezłomny zamiar rozwijać, rozszerzać i pogłębiać demokrację w naszym kraju..."

Nagle ton przemówienia zaostrzył się: Dziś głównym celem wrogów narodu jest osłabienie władzy klasy robotniczej, rozluźnienie więzi między naszą par-

nią i okrytą chwałą partią sowiecką. Potępiamy tych którzy nadużywając wolności demokratycznych zorganizowali nacjejonalistyczną demonstrację!"

Im dłużej mówił Gerő, tym bardziej wydłużały się nam miny. "On chyba zwariował!". "Chyba nie wie, co mówi". "Nie ma pojęcia co dzieje się na ulicach, w Budapeszcie!"

Tłumacz przekładał mowę Gerő, "Potőfi" przysłuchiwał się milcząc. Na koniec spytał: "Co o tym sądzicie, towarzysze Kopăcsi?"

"Stało się bardzo niedobrze, towarzyszu pułkowniku. Niemądre podburzające przemówienie, bez zrozumienia elementarnych zasad taktyki. Miejmy nadzieję, że nie jest to ta przysłowiowa kropla, która przepełni miarę cierpliwości!"

Wszystkie telefony zabrzęczały równocześnie. Towarzysze z ministerstwa, zaprzyjaźnieni twórcy, szef sztabu generalnego - wszyscy wyrażali swe obawy, swe najgłębsze rozczarowanie.

Jeden z mych adiutantów przysłuchiwał się mowie Gerő w siedzibie centralnego komitetu, w towarzystwie szefów służby bezpieczeństwa. Osobnicy ci, przyzwyczajeni do bezwzględnego obchodzenia się z ludźmi, wpadli podczas mowy Gerő w straszliwe zdenerwowanie.

Jeden z wyższych oficerów poderwał się nagle, wyciągnął pistolet mówiąc, że zastrzeli Gerő. Inni powstrzymali go siłą. Cisnął więc broń o ziemię i wrzasnął tupiąc: "To ścierwo Gerő jest temu winny, że my wszyscy musimy zdechnąć!"

Około 20,30 zadzwonił do mnie porucznik z posterunku mieszczącego się na małym placu między Teatrem Narodowym i redakcją gazety partyjnej.

"Towarzyszu Kopăcsi, to już do tego doszło!"

"Do czego?"

"Oni strzelają!"

Godzinę przedtem zameldował, że oddział służby bezpieczeństwa zajął pozycję na dachu domu w którym mieścił się posterunek. Natychmiast zatelefonowałem do ministra spraw wewnętrznych i otrzymałem od jego za-

stępcy kategoryczne dementi: "Nie wysyłaliśmy żadnego oddziału". Takie kłamstwa wobec policji były na porządku dziennym w kręgach służby bezpieczeństwa.

Spytałem porucznika, czy ktoś został ranny. Odpowiedź: "Nie, rannych nie było. Jak tylko padły pierwsze strzały, ludzie schronili się pod arkadami teatru i w sąsiednich uliczkach."

Najwidoczniej ekipę zdenerwował gromadzący się tłum, a jakiś bezpieczniak stracił głowę i zaczął strzelać.

Kilka minut później zadzwoniłem do szefa redakcji gazety codziennej "Agyar Nemzet". Pracowało tam kilku moich przyjaciół politycznych, sympatyzujących z programem reform. Właśnie dotarły do nich najświeższe wiadomości z Warszawy: Gomułka przeszedł zwycięsko próbę sił z Sowietami, Chruszczow przesłał mu telegram gratulacyjny z okazji przejęcia władzy.

"Nie masz pojęcia, jaka radość panuje w redakcji! Rosjanie uznali Gomułkę, uznają też i Imre Nagy'ego. To tylko kwestia godzin lub dni!"

Zaraziłem się ich optymizmem, ale wkrótce zadzwonił znowu telefon. Porucznik posterunku policji zameldował: "Towarzyszu Kopácsi, przechodnie mają broń"

Myślałem, że mój rozmówca zwariował. "Proszę powtórzyć, towarzyszu poruczniku."

Ponurym głosem powtórzył swój meldunek. Na placu przed teatrem gdzie padły pierwsze strzały znajdował się zmotoryzowany oddział wojska. Ciężarówka z czoła kolumny zatrzymała się, żołnierze byli świadkami strzelaniny i wywołanej przez nią paniki. Zraz po-tem żołnierzy otoczył zdesperowany tłum i jak prosić o broń, by "uchronić się przed mordercami ze służby bezpieczeństwa."

Rekruci - młodzi chłopcy z prowincji - nie zastanawiali się długo. Zbyt dobrze znali okrucieństwo służby bezpieczeństwa a nad placem ciągle jeszcze unosił się prochowy dym. Pierwszy żołnierz oddał wroń, za jego przykładem poszli inni.

W moim biurze panowała grobowa cisza. Współpraco-

nicy wpatrywali się we mnie z napięciem.

"Ile i jaka broń została rozdana?"

"25 lub 30 karabinów, tyle samo pistoletów maszynowych. Jakże są wasze rozkazy?"

Nie miałem wyboru: "Ściągajcie waszych ludzi na posterunek. Zaparykadujcie się i zgaście światło".

Niecałe pół kilometra od miejsca, gdzie została rozdana broń w wąskiej uliczce przed gmachem radia, tłoczyły się wokół samochodu nadawczego grupy młodocianych. Młodzi ludzie zwrócili się do techników: "Chcemy mówić przez mikrofon".

"Co chcecie powiedzieć?"

"Chcemy odczytać żądania naszej grupy X: niezależność narodowa, wolność... Dajcie mikrofon, to usłyszycie!"

Młoda studentka, czy robotnica wdrapała się na maskę samochodu, wyciągnęła jakiś papier z torebki i zaczęła odczytywać owe żądania, które od wczoraj formułowało wiele grup młodzieżowych.

Padły okrzyki: "Radia na okna!": "Wszyscy chcieli usłyszeć, co mówiła owa dziewczyna do mikrofonu. Ale z odbiorników, które ustawiono w oknach okolicznych domów, płynęła tylko muzyka. Tłum dał wyraz swemu rozczarowaniu: "Nie chcecie nadawać! macie nas w d...!?"

Ludzie, którzy spędzają życie w fabryce lub na budowie nie wiedzą, że przygotowanie audycji radiowej składa się z wielu etapów i niekoniecznie musi być złośliwością fakt, że mówiący do mikrofonu, nie jest natychmiast słyszalny w odbiornikach.

W mgnieniu oka techników wyciągnięto i poturbowano. Ich samochód nadawczy został przewrócony i podpalony. Wtedy tłum pociągnął pod zaryglowane drzwi domu radia.

W tym momencie zameldował się w telefonie mój stary przyjaciel szef kwatermistrzostwa, z głównej kwatery wojska.

"Sándor, mamy poważne nieprzyjemności".

"Wiem, twoje oddziały rozdają broń na dużym

bulwarze”:

“To tylko początek. Słuchaj: przed domem radia toczy się regularna bitwa. Służba bezpieczeństwa strzelała do tłumu, są zabici i ranni. Ludzie zapalili się w broń i teraz odpowiadają ogniem. Ale to nie wszystko! Jest jeszcze coś, może to najgorsze”:

“Dalej, powiedz mi wszystko!”

“A więc - nasze najlepsze oddziały dały nogę”:

“Co to znaczy?”

Posłałem dwa zmotoryzowane oddziały, by położyły kres rozlewowi krwi. Dotarły one do celu, ale zamiast oczyścić ulicę, zaczęły strzelać do służby bezpieczeństwa! Sprzymierzili się z tłumem i szturmują gmach radia”:

Armia ludowa przeciwko oddziałom służby bezpieczeństwa - straszliwe przedstawienie!

“Co proponujesz? - zapytałem.

“Wyślesz swój oddział, który opanuje gmach radia. Twoi ludzie nie są przez tłum znienawidzeni. Są widoki, że im się uda”:

Miał rację - mieliśmy jeszcze tylko tę jedną kartę i należało ją wygrać. Zaalarmowałem koszarę Mosonyi. Miałem tam oddział 100 policjantów przeszkolonych do walk ulicznych, i uzbrojonych w pistolety maszynowe, granaty ręczne oraz 2 ekm-y.

Komendant nie zwlekał ani sekundy. “Nie ma problemu, towarzyszu pułkowniku. Wyruszam natychmiast na czele oddziału”:

Musiałem teraz poinformować dyrekcję radia. Towarzyszka nazwiskiem Waléria Benke podjęła słuchawkę.

“Towarzyszko Benke, za parę minut nadejdą posiłki! Trzymajcie się!”

W słuchawce usłyszałem strzały i histeryczny krzyk Walerii Benke: “Kopącsi szybko! Inaczej wszystkich nas tu wystrzelają!”

Oddział z Mosonyi nie mógł jednak wdrzeć się do gmachu radia. Przeszkadzał im w tym nie tyle tłum, co oddziały służby bezpieczeństwa. Dowódca zadzwonił do mnie z jakiegoś prywatnego mieszkania.

"Towarzyszu Popdcsi, nie jest dobrze. Mam dwóch ciężko rannych i jest niemożliwością zrobić nawet parę k-raków. Jak tylko służba bezpieczeństwa nas dost-rzeże, natychmiast spada na nas grad kul".

Spytałem go, czy tłum jest uzbrojony.

"Wygląda na to, że nie. Jednakże nie mogę gwarantować, czy pod płaszczykami deszczowymi nie trzymają jakiejs splwy. Ludzie nam jednak nie grożą, raczej przeciwnie."

"Co rozumiecie przez 'przeciwnie'?"

"Tłoczą się wokół moich ludzi i namawiają do przejścia na ich stronę".

Nie musiałem być wielkim strategiem, by wydać następujący rozkaz: "Zabierzcie waszych rannych do szpitala i wracajcie natychmiast do koszar!"

Za pół godziny "oddział specjalny" podzieliłby los wielu innych oddziałów - przyłączyłby się do zrewoltowanej ludności.

Koszary Mosonyi nie musiały się obawiać ataku. Zbyt dobrze były obsadzone, by tłum mógł poważnie się na atakowanie ich, aby "zaopatrzyć się w broń".

Była północ: Wielej tego kraju debatowali w siedzibie Politbiura i nie można było porozumieć się z nimi telefonicznie. W samym mieście i na przedmieściach trwała strzelanina. Jedyna instrukcja, jaką otrzymaliśmy brzmiała: broń u nogi, oddziały uderzeniowe policji trzymać w pogotowiu.

Teraz przyszedł moment otwarcia dużej czerwonej koperty, na której tłustym drukiem widniał napis: "Plan M. Sciśle tajno! Otworzyć tylko w razie wyższej konieczności!"

"Plan M został opracowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych po wydarzeniach polskich i miał zawierać instrukcję jak należy działać zależnie od przebiegu wypadków na Węgrzech. Zwołałem sztab i złamałem pieczęcie /pięć dużych i czternaście małych/. Tekst rozpoczynał się szczegółowym wyliczaniem rzekomo przechowywanej w arsenałach policji broni i zapasów amunicji. Oskłupały czytałem: "20 ckm-ów".

Nie mieliśmy ani jednego. "80 lkm-ów." Mieliśmy cztery!

Dalej w podobnym stylu: "Amunicja i granaty ręczne na 72 godziny walki." /mieliśmy na 12 godzin/. "Bielizna, mundury, konserwy, napoje, papierosy itd. dla tysiąca osób i na sześć dni walki." Dysponowaliśmy jedynie kilkoma kompletami umundurowania i skrzynkami jabłek.

Oslawiony "Plan M" okazał się zatem wielkim kłamstwem. Dane zostały wzięte "z sufitu", bez związku z rzeczywistością. Byliśmy zdani na własne siły.

"Towarzyszu pułkowniku, pozwólcie tu i popatrzcie!"

Na dużym placu przed prezydiem policji leżały cementowe wsporniki, zwoje kabla, metalowe rury wentylacyjne i inne materiały używane do budowy metra. W słabym świetle niewielu oszczędzonych przez powstańców lamp ulicznych widać było zarysy postaci, krzątających się przy pracach budowlanych.

Niektórzy układali wsporniki jeden na drugi, inni przetaczali bębny od kabli, jeszcze inni zatrzymywali samochody, lub odbierali broń przechodzącym żołnierzom. Było dla mnie jasne że budowano barykadę.

Bez słowa przyglądałem się temu z okna mego biura. To nie mogło być prawdą! Barykada przed prezydiem policji w Budapeszcie? Czy ci ludzie nie wiedzą, gdzie się znajdują? Nie mają pojęcia, kim jesteśmy? Czuję się ośmieszony i upokorzony jako szef policji, jako żołnierz i jako komunista.

"Dość tego! Towarzyszu komendancie oddziału interwencyjnego, zbierzcie kompanię policjantów i oczekujcie na mnie przy wyjściu!"

Naciągnąłem kurtkę uniformu bojowego, wcisnąłem na głowę moje kepi, złapałem pistolet maszynowy i pobiegłem do oddziału zgromadzonego w przedsionku prezydium. "Na moją komendę - naprzód!"

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Tyraliery zbliżyliśmy się z dwóch stron do barykady. Na umówiony znak - salwa w powietrze - i wykonaliśmy szturm bagnety.

Młodzi ludzie zostali kompletnie zaskoczeni. Strzelali na ślepo i po najwyżej trzech minutach wszyscy zostali ujęci. Zaprowadziliśmy ich do gmachu prezydium. 15 chłopaków, wszyscy w wieku poniżej 20 lat. Odebraliśmy im broń a ja przeszedłem się, niby na paradzie, wzdłuż szeregu.

"Dokumenty!"

Bez oporu wyciągnęli dowody. Jeden miał legitymację partyjną. Najchętniej dałbym mu kopniaka. Legitymacja partyjna i spluwa w łapie? Do czego to dochodzi? On był w partii komunistycznej, tak jak i ja. Czego mu nie staliśmy po tej samej stronie barykady? Co ma oznaczać ta noc pełna zagadek i śmiercionośnych poczynañ? Dałem wreszcie spokój.

"Przynieście im coś do jedzenia, kawę, papierosy a potem do aresztu!"

Moi adiutanci byli bezradni. Prosilili by koledzy z policji kryminalnej poszperali trochę w kartotekach. Nic. Jakimi zresztą przestępstwami mogli być obciążeni ci młodzi ludzie, którzy przyszli tu prosto z fabryk?

Później, kiedy więzienia stały otworem, przyjmowaliśmy inne wizyty, między innymi pewnego skazanego na dożywocie mordercy, który chciał "tylko popatrzeć", jaką minę robi jego sędzia śledczy...

Zaszedłem do cel. Młodzi ludzie cicho rozmawiali popalając papierosy. Przypomnieli mi czasy, gdy jako młody chłopak walczył w ruchu oporu na północy. Wypełnieni byli jedynym pragnieniem: "Jesteśmy za wolnością Węgier..."

Co chcieli przez to powiedzieć? Czy ja także nie byłem za wolnością, mego kraju, przeciwko nazistom, imperialistom, militarystom i obszarnikom? Czy nie byłem za lepszym życiem, za partią robotniczą? Dlaczego ci młodzi ludzie, tak do mnie podobni, wzięli na cel akurat mnie?

Zadzwonił telefon. Minister spraw wewnętrznych chciał ze mną mówić. Miał taki głos, jakby sobie popił. "Czego chcieliście ode mnie, Kopácsi?"

"Cały wieczór usiłowałem was złapać, towarzyszu

Piros. Sytuacja jest krytyczna a ja nie dostaję od nikogo rozkazów”.

“Rozkazy... U was jest spokojnie, nikt do was nie strzela jak do moich ludzi/miał na myśli służbę bezpieczeństwa/. Sciągnijcie wasze siły do prozydium; powiem wam, kiedy będę potrzebował waszych ludzi”.

Głos jego zniżył się do ledwie słyszalnego szepotu: “Róbcie co w waszej mocy. Złóżcie od czasu do czasu raport. “Odłożył słuchawkę. Cugle puszczone, koń może galopować, gdzie chce.

Wysłaliśmy delegację po rozkazy do siedziby kierownictwa partyjnego przy ul. Akademii.

Wkrótce wysłani tam ludzie wrócili, mocno zdeprymowani. Nocą Imre Nagy'ego wybrano do Politbiura, nie mógł on jednak brać udziału w obradach ani też przyjmować przyjaciół. Od wielu godzin różne delegacje oczekiwały na rozmowę z przywódcą narodu.

Geró był nieuchwytny. W końcu moi oficerowie zdołali uchwycić młodą zastępcę Geró. Ten załatwił ich krótko: “My was nie potrzebujemy, zrobimy wszystko co konieczne, by zdławić kontrrewolucję.”

“Sénder - powiedział szef naszej delegacji po powrocie do prozydium - “obawiam się, że coś poważnego wisi w powietrzu.”

“Co? Nie będą chyba mobilizowali lotnictwa i nie zbombardują dzielnic robotniczych?”

“Mówię ci: Na ulicy Akademii atmosfera się zagęszcza. Gnach jest przepełniony, wysocy oficerowie służby bezpieczeństwa kłębią się w korytarzach. Poza tym jest niepokojące, że Imre Nagy stał się praktycznie ich więźniem. Możesz być pewien, że szykuje się jakaś penura niespodzianka.”

Jaka była ta “penura niespodzianka” dowiedzieliśmy się około drugiej nad ranem. Jeden z moich kierowników wydziału policji kryminalnej potrząsając moim ramieniem, zawołał: “Towarzyszu pułkowniku, moja żona chce z wami pilnie rozmawiać!”

Ze zziwieniem chwyciłem za słuchawkę. Usłyszałem zdenerwowany głos: “Proszę wybaczyć, nioszkam na południowym zachodzie Budy, tu słychać straszny hałas,

duża armia pancerna wjeżdża do miasta."

Nasze wojsko nie miało żadnej bazy w południowo-zachodniej części miasta, rezerwy były skoncentrowane we wschodnich częściach kraju.

"O! dawna słyszy pani ten hałas?"

"O! około 10 minut."

"Widziała pani czołgi?"

"Tak. Przesuwają się ulicą u stóp wzgórza. Są bardzo duże i mają bardzo długie lufy. Przejechało co najmniej 100."

Bardzo duże z bardzo długą lufą - to mogły być tylko czołgi "Józef Stalin". Takich czołgów mieliśmy niewiele. Kolumna pancerna, którą opasała owa kobieta, należała do rezerwy pancernej armii sowieckiej która stacjonowała w pobliżu jeziora Balaton. Sowieci wkroczyli do Budapesztu.

Cały świat zadawał sobie pytanie, kto wozwał sowieckie czołgi. Czy był to znienawidzony I sekretarz Gieró, jego premier Hegedus, czy nowy premier Imre Nagy?

Według postanowień Paktu Warszawskiego, interwencję jakichkolwiek oddziałów wojskowych na terytorium państwa demokracji ludowej musi poprzedzić wezwanie o pomoc. W rzeczywistości sowiecka armia pancerna stacjonowała na naszym terytorium od lat, o godzinę drogi od stolicy, nad jeziorem Balaton. Wystarczył rozkaz sowieckiego sztabu generalnego, by wyprowadzić czołgi na Budapeszt. Prawdopodobnie tak się właśnie zdarzyło.

Czołgi zajęły pozycje wokół najważniejszych gmachów miasta. Według meldunków telefonicznych, które co parę minut napływały z miejsc komisariatów, większość sił sowieckich zgromadziła się w rejonie północno-wschodnich przedmieść Budapesztu.

Sowieci podjęli pośpieszną operację. Bez najmniejszej osłony grenadierów pancernych pchnięto na Budapeszt kilka dywizji czołgów. Z militarnego punktu widzenia była to zagrywka pokorowa.

Oglądaliśmy kolumnę czołgów przetaczających się

hałaśliwie z zatrzaśniętymi wieżyczkami, strzelających z ckm-ów do wszystkiego, co było oświetlone. Długo sora z karabinu maszynowego przeleciała po fasadzie naszego budynku, kule utknęły w murze.

Zamarliśmy z przerażenia. Nie był to strach przed śmiercią, lecz coś innego, było to przeczucie brzmieńnych w nieszczęście wypadków. Nie mogliśmy przecież krzyknąć do czołgistów: "Stójcie! Jesteśmy przyjaciółmi!" W panikę wprowadziła nas myśl, że zostaniemy trafieni zaprzyjaźnionym pociskiem.

Mignęło mi wspomnienie niewiarygodnej wręcz brutalności sowieckiej maszyny wojennej, która w trakcie misji wyzwolenczej przetoczyła się przez północne rejony naszego kraju. Wtedy ścigali oni widmo - resztki oddziałów hitlerowskich. Ale dziś? W sercu naszego pięknego Budapesztu stało tylko prezydium policji ze swymi biednymi synami chłopskimi i robotnikami fabrycznymi, którzy wszyscy jak jeden mąż oddani byli sprawie socjalizmu.

W małej uliczce naprzeciw zauważyliśmy liczne pozostałości przemijające wzdłuż murów i kryjące się po bramach. Nagle jeden z czołgów zatrzymał się. Kłapa wieżyczki uniosła się, wynurzył się żołnierz i zoskoczył ciężko na ziemię.

W jednym z okien brzęknęła szyba. Usłyszeliśmy strzał i sowiecki żołnierz upadł na plecy. Zaraz potem dwie lub trzy detonacje. Były to butelki z benzyną, które zostały rzucone z wyższych pięter i rozrysnęły się wokół czołgu. Skupy ognia buchnęły do góry. Jedna butelka trafiła dokładnie we właz i eksplodowała we wnętrzu czołgu.

Te ogromne czołgi miały pięcioposobową załogę. Dwóch lub trzech zginęło z pewnością na miejscu, dwój wdrapał się na płonącą wieżyczkę. Jeden uratował się wbiegając do bramy, drugi ruszył niegłęboko przez jezdnio ale po 20 metrach zmiotła go salwa.

"Sáan-door,... Sáan-door..." wykrzyknął ktoś z tyłu mojej głowy, ze śpiownym rosyjskim akcentem. Był to "Petofi", jeden z naszych sowieckich "doradców."

Nieogolony, w garniturze naciągniętym na pidszań stał za mną i przyglądał się temu potwornemu widoku.

"Graždanskaja wajna..." Wojna domowa. Niby zepsuta płyta powtarzał bez przerwy te same wyrazy. Za nim stał jego towarzysz z kompletnie ośmupiałym wyrazem twarzy. Przyglądałem się obu i miałem nadzieję, że usłyszę coś na pocieszenie, słowo wyjaśnienia, jakąś wskazówkę.

Nasi doradcy widzieli płonący czołg. Wojna domowa? W rzeczywistości była to wojna Sowietów przeciwko Węgrom. Wczesnym rankiem owego październikowego dnia w biurze prezydenta policji stali obok siebie rosyjscy i węgierscy oficerowie, nie mając odwagi spojrzeć sobie w twarz.

O czwartej rano usłyszeliśmy wreszcie w radio skrzekliwy jazgot. Był to spiker, który najwidoczniej nie umiejąc czytać sylabizował:

Dzień dobry, drodzy słuchacze! Podajemy poranne wiadomości. Faszystowsko-reakcyjne elementy podjęły zbrojną napaść na nasze gmachy publiczne. Napadły także na nasze oddziały policji. W interesie porządku publicznego zakazuje się jakichkolwiek zgromadzeń, zbiegowisk i przemarszów. Policja otrzymała rozkaz wystąpienia z całą surowością prawa, przeciwko tym którzy zakaz naruszają.

O sowieckich czołgach nie wspomniano ani słowem. Moi oficerowie wybuchnęli śmiechem. Nie otrzymaliśmy żadnego rozkazu, by zastosować "surowość prawa." Przyczyna była prosta: każdy policjant, który pojawił się na ulicy, natychmiast był rozbrajany.

Wczesnym przedpołudniem usłyszeliśmy coś wreszcie na temat sytuacji militarnej. Wbrew oczekiwaniom rządu, pojawienie się sowieckich czołgów tylko nasiliło toczące się walki. Wielu mieszkańców dzielnicy robotniczej dostało broń od pracowników fabryki "Lampart", największego w kraju zakładu zbrojeniowego. Składy broni szkoły oficerskiej zostały splądrowane. Niektóre koszarzy wojskowe na obrzeżu miasta otworzyły swe arsenały.

Okolo południa dowiedzieliśmy się, że Imre Nagy został mianowany szefem rządu. Po raz pierwszy przemówił przez radio. Cały kraj przysłuchiwał się z napięciem. Nasza teraźniejszość, nasza przyszłość i nasze życie zależały od jego słów. "Mieszkańcy Budapesztu, zawiadamiam was, że wszyscy, którzy do godziny 14 dnia dzisiejszego złożą broń i zaprzestaną walki, unikną odpowiedzialności przed sądem doraźnym..."

Nie wróżyło to nic dobrego. Sąd doraźny... W tym momencie my jako uzbrojone siły pollogaliśmy także prawom sądu doraźnego! Jeśli w chwili, gdy stolicę wstrząsają zbrojne zamieszki i zewsząd oczekuje się sygnału do radykalnych zmian, a wzmian otrzymuje się ultimatum i zapowiedź wielkodusznego traktowania, świadczy to jedynie o kompletnym ignorowaniu rzeczywistości.

Kilkakrotnie już miałem telefon od niejakiego "kapitana Nemo". Podawał się za przywódcę regularnego oddziału wojska i rzecznika sprawy "rewolucjonistów". Tym razem miał dla mnie coś nowego: Po- nie pułkownika, obok mnie stoją bracia Pongrácz i Sándor Angyal. Chcieliby z panem porozmawiać."

Wczoraj jeszcze nieznane, dziś te nazwiska były na ustach wszystkich. Bracia Pongrácz, robotnicy z okolic Budapesztu i Sándor Angyal, młody robotnik z wyspy Csepel, dowodzili dwoma najważniejszymi grupami powstańczymi. Dysponowali bronią przeciwpancerną i ponad tuzin wraków sowieckich czołgów świadczył o ich działalności.

Proponycja rozmowy z tymi ludźmi poruszyła mnie do głębi. Poszukiwały ich siły zbrojne całego kraju a przede wszystkim naczelne dowództwo armii sowieckiej. Usłyszałem przyjemny głos młodego człowieka przyprawiony lekką domieszką ironii: "Tu Sándor Angyal, komendant ludzi z ulicy Tuzelta. Pozdrawiam was, towarzyszu pułkownika."

"Czemu nazywacie mnie 'towarzyszom'? O ile wiem jesteśmy przeciwnikami."

"Przeciwnikami? Może dzisiaj, ale jeszcze wczoraj

raj należeliśmy do tej samej partii."

"Czego chcesz?"

"Cieszyłbym się, gdybyś walczył po naszej stronie."

Walczyć, walczyć! Przede wszystkim należy walki zaprzestać. Nie ma już powodów do walki. Towarzysz Imre Nagy został szefem rządu i teraz osiągniemy wszystko, do czego dążyliśmy".

W słuchawce usłyszałem wybuch śmiechu.

"Dobrze towarzyszu, może tak myślisz, ale chyba nie widzisz, co się dzieje na ulicach."

"Możliwe, Co się zatem dzieje?"

"Jesteśmy w ogniu wojny węgiersko-sowieckiej. To nie jest żadna zabawa towarzyska, lecz wojna. Nie możemy broni tak długo, póki wojska sowieckie nie znikną z kraju. Należy to z całą jasnością powiedzieć. Z tobą natomiast chętnie byśmy się spotkali, bo zależy nam, być zrozumiał nasz punkt widzenia."

Podał numer swego telefonu. Natychmiast porozumiałem się z radą wojenną i zameldowałem László Foldes o rozmowie z przywódcami powstańców. Rada wojenna zareagowała błyskawicznie.

"Towarzyszu Kópecsi wydajemy wam rozkaz bezzwłocznego przystąpienia w imieniu rządu do pertraktowania z grupami powstańców. Wasze zadanie to poznać ich warunki, w miarę możliwości skłonić do poddania z zapewnieniem dla ich idącej amnestii."

Wykręciłem podany mi numer, zgłosił się Angyal. Szybko uzgodniliśmy spotkanie: następnego dnia o 9.00 w prezydium. Jako gwarancję przyjęto moje słowo honoru.

Delegaci rady wojennej przyszedli na piechotę ok. 8.45. Byli to generałowie Váradi i Kovács. Krótco po 9.00 warta zameldowała, że skradziony Rosjanom samochód pancerny, wypełniony młodymi ludźmi z pistoletami maszynowymi, szuka wolnego miejsca na naszym parkingu.

Kilka minut później próg sali posiedzeń przekroczyło trzech mężczyzn. Dwaj starzy, szczupli i wysocy - to bracia Pengrác, trzeci - niski i krępy - to

Sándor Angyal. Podaliśmy sobie ręce i siedliśmy przy długim stole. Rozmowa zaczęła się od pytania Kovácsa, jakiego typu rozwiązanie polityczne zadowoliliby powstańców.

Starszy Pongrácz odpowiedział: "Jedynym możliwym do przyjęcia rozwiązaniem byłby układ między rządem węgierskim i sowieckim o wycofaniu oddziałów sowieckich z naszego kraju. Nie mamy złudzeń, nawet uzbrojony w lekką broń nie jest w stanie wyrzucić wojska. Nasz rząd powinien jednak wiedzieć, że dopóki są tutaj Rosjanie, dopóty nie zaprzestaniemy oporu."

Ku memu wielkiemu zdumieniu generał Kovács przekazał informację, że w nocy przybyli z Moskwy członkowie Politbiura Susłow i Mikojań. Generała nie zdziwiłoby "gdyby celem ich rozmów z naszym rządem byłoby honorowe wycofanie się armii sowieckiej."

Na pytanie, jak wyobrażają sobie życie po wycofaniu obcych wojsk, przywódcy powstańców odpowiedzieli: rząd Nagy'ego mógłby zadowolić opinię publiczną, ale pod warunkiem, że usunięci zostaną starzy stalinowcy a na ich miejsce zostaną wybrani przedstawiciele innych, niekomunistycznych kierunków. Poza tym należy energicznie wprowadzać w życie reformy demokratyczne, przede wszystkim przeprowadzić wolne wybory i ogłosić w Narodach Zjednoczonych deklarację neutralności.

Spotkanie trwało ponad dwie godziny. Na koniec obie strony oświadczyły, że było ono pożyteczne i że teraz sytuacja rysuje się wyraźniej. Rozstaliśmy się po porozumieniu się, co do dalszych kontaktów.

Było to około południa owego pamiętnego 25 października 1956 r. Nasi sowieccy doradcy omawiali w moim biurze sytuację. Nagle zauważyliśmy przez okno, że pobliski bulwar wypełnia się olbrzymim tłumem ludzi, którzy nadchodzili z parku miejskiego niosąc flagi i transparenty, skandowali: "Precz z Gero!", "Rosjanie precz!". Z pewnością było ich z 10 tysięcy jeśli nie więcej. Z naszego punktu obserwacyjnego widzieliśmy to, czego nie widział tłum: trzy wielkie sowieckie czołgi zbliżające się inną ulicą - wprost na demonstrantów.

To było jak koczarny sen. Gdy czołgi wjechały na bulwar, tłum dostrzegł je, ale było już za późno, by uniknąć spotkania. Czołgi zatrzymały się, a ludzie parli naprzód i wrzucie otoczyli stalowe czołgi. La-da chwila mógł wybuchnąć piekielny ogień karabinów maszynowych. Stało się jednak inaczej.

Jakiś młody człowiek uderzył sobie drogę do najbliższego czołgu i wetknął coś w przeziernik. Nie był to granat, lecz kawałek niewinnego papieru. Inni poszli za jego przykładem. Młodzi ludzie skomplotowali potem cały zbiór ulotek przygotowanych przez studentów w języku rosyjskim. Tekst zaczynał się cytatem z Marksa: "Nie może być wolnym naród, który uciska inne narody."

Liczyliśmy minuty, ale nic się nie działo. Wreszcie klapa wieżyczki czołgu podniosła się, wynurzył się dowódca i stanął na masce czołgu. Wiele rąk wyciągnęło się w jego stronę. Młodzi ludzie wskoczyli na czołg, jakaś młoda kobieta objęła sowieckiego czołgistę. Ktoś rozwinął węgierski sztandar, w sekundę później przy-mocowano go do czołgu.

Ludzie dosłownie ryczeli: "Niech żyje armia sowiecka!" To byli ci sami ludzie, którzy przed kwadransiem skandowali z determinacją: "Rosjanie precz!"

W pół godziny po tym akcie zbratania przed oknami prezydium zadzwoniła do mnie jakaś mocno zdenerwowana policjantka: "Towarzyszu Korfacsi, na osiedlanadzie przed parlamentem demonstruje ogromny tłum, wszyscy krzyczą: 'Precz z Gero!' To grozi starciem!"

"Ależ nie, ludzie nie są uzbrojeni. Widziałem ich przed pół godziną, to jest pokojowa demonstracja."

"Porucznik służby bezpieczeństwa, który dowodzi stanowiskiem ekm na dachu, jest jednak innego zdania."

Powiadomiłem o wszystkim mój sztab. Wszyscy uważali za niemożliwe, by służba bezpieczeństwa kazala strzelać do nieuzbrojonego tłumu, któremu w dodatku towarzyszyły sowieckie czołgi. W kilka minut później nadszedł jednak kolejny telefon: To przechodzi wszelkie wyobrażenie! Służba bezpieczeństwa strzela ze wszystkich da-

chów!...Sowieckie czółki otwierają do nich ogień!...
Bronią tłumy!"

Tłum pozbawiony całkowicie osłony znalazł się pod
huraganowym ogniem ustawionych na dachach czołw.
Rzeka ustąpiła dopiero wtedy, gdy odpowiedziały sowieckie
czołgi.

Udało mi się wreszcie uzyskać połączenie telefo-
niczne z Imre Nagy. Był w złym nastroju i najwyraź-
niej mu się śpieszyło: "Czego chcecie, Kópácsi?"

"Tłum domaga się ustąpienia Gero. Przed parlamen-
tem miała miejsce rzeź..."

"Towarzysze z sowieckiego Politbiura właśnie od-
jechali. Gero został wykluczony, jego miejsce jako szef
partii zajął Kádár. Ja jestem przewodniczącym rady mi-
nistrów. Czego ludzie chcą jeszcze?"

"Towarzyszu Nagy, może was nie poinformowano o os-
tatnich wydarzeniach. Służba bezpieczeństwa zmasakro-
wała nieuzbrojonych ludzi! Przed gmachem parlamentu
leży 300 zabitych! Wasz nowy rząd jest splamiony
krwią niewinnych ofiar!"

Imre Nagy pojął wreszcie powagę sytuacji. Jego głos
nagle się zmienił: "Natychmiast uczynić wszystko, co
konieczne! To jest odrażające, to haniebne!" "Zaraz po-
tem minister spraw wewnętrznych został zdymisjonowany.

Ta okropna wiadomość o masakrze przed parlamentem
rozniosła się po całym mieście. Zaczęto szukać win-
nych. Około 10 tysięcy ludzi zebrało się przed prozy-
dium policji. Nie były to tylko kobiety i dzieci, lecz
młodzi ludzie, których kłószcze przeciwdeszczowo z
trudnością maskowały kształt pistoletu maszynowego.

Tłum krzyczał: "Precz z gwiazdą!" Na naszym dachu,
podobnie jak na wszystkich gmachach publicznych, bły-
szczała ogromna pięcioramienna gwiazda z czerwonego
metaliku ozdobiona setkami czerwonych żarówek. Usłysza-
łem skandowanie tłumu i wyjrzałem przez okno; obok
mnie stali moi oficerowie i obaj doradcy sowieccy. Moi
podwładni patrzyli na mnie, czekali na mój rozkaz.

Czerwona gwiazda była symbolem, kierującym moimi
krokami, oznaczającym moją tożsamość. Był to znak roz-
poznawczy 'wielkiej rodziny'. Chór skandujących gło-

sów stawał się coraz bardziej natarczywy: "Precz z gwiazdą!"

"Musimy chyba wejść na górę i zdementować gwiazdę."

Mój asilutant posłał paru ludzi z narzędziami na dach. Gdy zobaczono, że policjanci usunęli gwiazdę, wrogość tłumu zmalała, dało się nawet słyszeć przyjazne okrzyki.

Nagle pojawiło się nowe hasło. Tym razem tłum domagał się uwolnienia więźniów: "Wypuście bojowników o wolność!" Okrzyki stawały się coraz groźniejsze. "Chcemy wejść do środka!" - "Chcemy zobaczyć wasze piwnice tortur!" - "Otwierać, bo inaczej rozwalimy waszą budę!"

Odrzuciłem pas, rewolwer, torbę i moją obręczkę położyłem na biurku. Dwóch na ochotnika ze mną, bym mógł przedostać się przez tłum. Będę z nimi rozmawiać.

Ochotnicy czekali na mnie przy drzwiach. Chwyciłem krzesło i zacząłem z pomocą moich ludzi przeciskać się przez rozgorączkowany tłum. Jak we śnie poruszaliśmy się w tym morzu wściekłości. Nikt nas nie zatrzymywał. Na środku placu stanąłem, postawiłem krzesło i wszedłem na nie. Hałas zaczął słabnąć, wkrótce zapadła śmiertelna cisza.

"Spełnię wszystko, czego się domagacie. Wybierzcie pięcioosobową delegację, która stawi się w prezydium. Lutnie ci przekonają się sami, jak żyje się więźniom. Oni też wybiorą tych, których uważają za "bojowników o wolność" lub za więźniów politycznych. Wasze poczucie rewolucyjnej demokracji podpowie wam, tak jak i mnie, że pospolici przestępcy nie powinni zostać zwolnieni".

Owacja tłumu wprawiła w drżenie ostatnie ocąlałe jeszcze szyby w domach wokół placu. Wybór delegacji trwał zaledwie parę sekund. Prawdopodobnie ludzie zadbali o to wcześniej. Delegaci zbliżyli się do mnie, a następnie poszli do prezydium.

Szybko wyselekcjonowano więźniów. Około 50 chłopaków i dziewcząt wyszło przed budynek i zostało natychmiast otoczonych przez tłum. Pytania spadły na

nich jak lawina, odpowiedzi udzielano wyczerpujących. Nikt nie został pobity, ranni znaleźli się w szpitalu, wszyscy otrzymali wystarczającą ilość żywności. Uwolnieni opowiadali o swych bohaterskich czynach, ludzie bili brawo i podnosili ich do góry. Niezliczone ręce wyciągały się w moim kierunku.

Raptem rozległ się nowy okrzyk: "Precz z ministrem Pirosem - Kopácsi niech żyje!" Z nowym hasłem na ustach tłum zaczął się przetaczać do śródmieścia. Wziąłem krzesło i wróciłem do prezydium.

Niedługo potem wezwał mnie nowy minister, spraw wewnętrznych generał porucznik Ferenc Munnich. W moim sztabie podejrzewano pułapkę. W końcu jednak wymyślono następujące rozwiązanie: udam się do ministerstwa, ale w godzinę później zadzwoni tam mój adiutant, by się dowiedzieć, czy wszystko jest w porządku. Gdybym po półtorej godzinie nie wrócił, adiutant obwieści niezależność prezydium policji i w ostateczności - sojusz z powstańcami.

W oczach Munnicha byłem człowiekiem żywiącym sympatię dla powstańców a może nawet potajemnie ich gromadzącym. Zadał mi pytanie wprost: "Czy można przy wykonywaniu rozkazów rządu Imre Nagye'go na was liczyć?"

Odpowiedź moja nie była pozbawiona zastrzeżeń. Oczekiwałem ze strony rządu działań politycznych. Działania te miały położyć kres potwornościom i masakrom dokonywanym przez służbę bezpieczeństwa.

"To jest zagwarantowane." - odpowiedział nowy minister. "Jestem upoważniony, by panu zakomunikować, że służba bezpieczeństwa zostanie wkrótce rozwiązana. Jest pan zadowolony?"

"Tak jest, towarzyszu ministrze. Możecie być pewni że rozkazy rządu Imre Nagye'go, jak również wasze zostaną wykonane."

Munnich kazał podać kawę i koniak. Byliśmy w trakcie rozmowy, kiedy do pokoju wszedł sekretarz ministra "Prezydium policji wzywa do telefonu pułkownika Kopácsiego!"

Munnich gniewnie fuknął: "powiedzcie, że jest u mnie na posiedzeniu."

Sekretarz zwlekał. "Byłoby jednak lepiej, gdyby pułkownik sam to powiedział..."

W tym momencie Munnich pojawił się i wybuchnął głośnym śmiechem: "Mako macie do mnie zaufania! A wasi współpracownicy jeszcze mniej! Proszę - telefonujcie, inaczej wasi przyjaciele ze swymi armatami zaraz tu będą!"

Wkrótce jednak moje stosunki z Munnichem pogorszyły się. Powód: pewien przyjaciel dał znać ministrowi, że wyższa władza ma o mnie złe mniemanie. Był to znowu ten mały blond Rosjanin - tajemniczy "nowy towarzysz doradca sowiecki", który został mi przedstawiony 23 października.

Kim był ten człowiek i co miał przeciw mnie? Nikt nie znał jego nazwiska. Nazywaliśmy go "nowy" albo "Moskwiczanie". Nigdy nie pojawił się w ministerstwie. Jeśli działał, to tylko za pośrednictwem "czerwonego telefonu". Czasami Munnich zostawiał wszystko, nakładał kapelusz, gramolił się do sowieckiego czołgu, który wiozł go w nieznano.

30 października około 19.00 mój przyjaciel József ("Józka") Szilágyi wezwał mnie telefonicznie do Imre Nagy'ego, urzędującego w parlamencie. Szilágyi kierował sekretariatem premiera, a faktycznie pełnił funkcję wicepremiera.

Od owej osobliwej sceny przed prezydium policji wydarzenia potoczyły się szybko. Tajne służby i służba bezpieczeństwa zostały rzeczywiście rozwiązane, ich członków zwolniono. W licznych przedsiębiorstwach i organizacjach wybrano na terenie całego kraju komitety rewolucyjne. Wydawało się, że nawet sami Rosjanie zmieniają front. Wszędzie mówiono o pertraktacjach na temat wycofania wojsk prowadzonych przez rządy węgierski i sowiecki.

Przed gabinetem Imre Nagy'ego Szilágyi przedstawił mnie generałowi Béli Kiralyemu mówiąc: "w przyszłości będziecie mieli ze sobą wiele do czynienia!".

Király został za czasów Rákosi'ego skazany po procesie pokazowym na dożywotnie więzienie. Rząd Imre Nagyego uwolnił go i powołał na jedno z najwyższych stanowisk w wojsku. Wyszliśmy na dwór, by móc porozmawiać bez przeszkód. Zrewoltowana ludność na terenie całego kraju była uzbrojona. Utworzone komitety rewolucyjne położyły kres bezładnym walkom. Oddziały wojskowe nie mogły już dłużej pozostawać w wytworzonym przez rewolucję, stanie częściowego rozpadu. Do pilnych zadań należał wybór nowego dowództwa wojskowego. Imre Nagy zaproponował trzy kandydatury: Belę Királyego, jako naczelnego dowódcę, mnie jako jego adiutanta i Pála Maléter'a jako ministra obrony.

Joszka Szilágyi wezwał nas znova do pokoju przed gabinetem premiera. Po paru minutach w drzwiach gabinetu pojawił się jeden z dwóch specjalnych wysłanników Kremla Anastas Mikojan. Na progu odwrócił się i powiedział parę słów po rosyjsku do człowieka, który stał za nim. Był to Imre Nagy, który odpowiedział Mikojanowi, kiedy jego wzrok spoczął na Király'm i na mnie: "Tawariszoz Mikojan, widzicie tu dwóch przyszłych dowódców węgierskich sił zbrojnych."

Mikojan uściśnął nam ręce i powiedział: "Teraz musimy opuścić wasz kraj. Pomóżcie towarzyszowi Imre Nagy'emu ze wszystkich sił." Po czym, ściskając dłoń Nagy'ego: "Towarzyszu Nagy, ratujcie, co jest do uratowania!"

Obaj objęli się ramionami. Mikojan odwrócił się i wyszedł w towarzystwie dwóch członków ochrony, którzy dyskretnie czekali przy drzwiach.

Imre Nagy był w znakomitym humorze. Susłow i Mikojan przyjęli najważniejsze postulaty Węgrów - wycofanie oddziałów sowieckich i demokratyzację. "Dowódcy armii obu krajów spotkają się wkrótce" - donosił Nagy. "Czołgi opuszczają Budapeszt a w ciągu kwartału wszystkie oddziały sowieckie zostaną ewakuowane z Węgier. Zorganizujemy wybory powszechne, do których zostaną zgłoszeni kandydaci wszystkich partii demokratycznych... Naturalnie zachowane

zostaną wszystkie zdobycze socjalistyczne; ziemia, banki, fabryki i przedsiębiorstwa pozostaną w rękach państwa."

Przyszła János Kádár. Zwracając się do mnie powiedział: "Reformujemy naszą partię komunistyczną, Kópacsi, Teraz będzie się nazywać Węgierska Socjalistyczna Partia Robotnicza. Tworzymy właśnie prowizoryczne Biuro Polityczne. Wchodzą do niego towarzysze Nagy i ja, następnie Losonczi, György Lukács, Donáth, Szántó - towarzysze, którzy ucierpieli za czasów Rákosi. Chętnie widzielibyśmy i was w kierownictwie. Czy przyjmujecie propozycję?"

"Z radością i dumą, towarzyszu Kádár!"

Jeszcze tego samego dnia moi ludzie z prezydium policji donieśli mi o szczegółach ewakuacji sowieckich czołgów z Budapesztu. W tak zwanej dzielnicy rosyjskiej w okolicach ambasady panowała gorączkowa krzątanina. Opróżniono całe piętra wielkich, nowoczesnych, budowanych dla gości zagranicznych domów. Z biednych dzielnic stolicy ścigali bezdomni z dziećmi, starcami i chorymi, czekali cierpliwie na odejście Rosjan by zająć opuszczone przez nich mieszkania.

Owego wieczoru udałem się w towarzystwie wysokiego oficera ministerstwa obrony narodowej do koszar Kiliána, centrali powstania zbrojnego. Zaproszono nas na zebranie założycielskie komitetu rewolucyjnego sił zbrojnych.

Droga do bramy koszar przedstawiała dziwny widok. Widziałem cztery wielkie rosyjskie działa polowe 150mm, trumny ze zwłokami nieszczęsnych kanonierów i zabitych powstańców stały obok siebie na bruku. Jedne nosiły kredowy napis "Rosjanie"; inne - "Węgier". Na jednym z dział widniało hasło "Złom służy pokojowi".

Warta zaprowadziła nas do biura Malétera, które służyło jako pokój konferencyjny. W pokoju zastaliśmy barwnie przemieszane towarzystwo. Posiedzenie otworzył Maléter, Béla Király, kandydat na naczelnego dowódcę tworzących się sił zbrojnych i ja, kandydat na stanowisko adiutanta, przedstawiliśmy się zebrany.

Przyszła teraz pora na meldunki, przedstawiono następnie '14 punktów' i '15 punktów' a także inne postulaty - prawdziwe programy polityczne z odpowiednio wycieniowanymi i rozłożonymi akcentami.

Głos zabrał Maléter: 'Przyjaciele, niepodległe Węgry przeprowadzą za kwartał wolne wybory. Partie mogą spierać się o polityczne racje - my natomiast mamy inne zadanie. Musimy przywrócić porządek publiczny, nie dając za wszelką cenę najmniejszego pretekstu do interwencji wojskom sowieckim. Przystąpmy do wyboru wspólnego naczelnego dowództwa.'

Głosowanie wypadło dla mnie korzystnie: zostałem wybrany zastępcą komendanta patriotycznej milicji rewolucyjnej/Gwardii Narodowej/.

Imre Nagy nakłaniał mnie do pośpiechu. Za pośrednictwem Joszki Szilágyi wzywał kierownictwo nowej Gwardii Narodowej do bezzwłocznego zakończenia prac organizacyjnych. Naszym celem było natychmiastowe sformowanie specjalnych oddziałów, które byłyby w stanie zapewnić powrót do normalnego życia.

Wiem, że dzisiaj, po doświadczeniach z Breżniewem w Czechosłowacji, słowo 'normalizacja' nie brzmi najlepiej. Nasza normalizacja oznaczała zaprzestanie walk i powrót do codziennego życia. Chodziło o wznowienie produkcji, a przede wszystkim o uspokojenie umysłów i pozyskanie ludzi do wspólnych zadań.

Mimo wszystko, ulice nie wyglądały najgorzej. Ty dzień morderczych walk pozostawił naturalnie wyraźne ślady. Wszędzie natykałem się na przewrócone tramwaje, wraki samochodów i wypalonych czołgów. Widać było jednak, że walki ustały. Na rogach ulic sprzedawano gazety, były to przy tym pisma, których już od lat nie widywano. Rewelacją dnia nie był już Suez. Wprawdzie jeden z meldunków donosił o zagrożeniu strefy kanału przez wojska angielsko-francuskie i izraelskie ale dla czytelników w Budapeszcie większe znaczenie miała oficjalna deklaracja rządu sowieckiego w kwestii węgierskiej.

Kupiłem dwie czy trzy gazety dla mego przyjaciela Szilágyiágo. Zostałem go jednak w nastroju, który nie-

co mnie zdeprymował. Popatrzył na mnie smutnym wzrokiem.

"Sándor, obiecaj mi, że będziesz dalej współpracował z Királým, jak gdyby nic nie zaszło. To jest dla szefa ogromnie ważne." Po czym powiedział:

"Doje się."

"Czego?"

"Rosjan. Mam wrażenie, że chcą nas wciągnąć w pułapkę."

"To przecież niemożliwe! Deklaracja rządu sowieckiego..."

Głos Joszki spowaźniał: "Tu są raporty, który dotarły do mnie. W piśmie z datą 28 października naczelnik dworca przy posterunku granicznym melduje wkroczenie nowych oddziałów sowieckich ze sprzętem wojсковym. Od wczoraj wszystkie wojskowe kwatery główne na prowincji stwierdzają na drogach duży ruch oddziałów podążających w kierunku Budapesztu. Sowieckie siły zbrojne szacuje się na 200 000 ludzi, 12 dywizji w tym 8 pancernych - mogą nas tym roznieść na miazgę."

"Imre Nagy o tym wie?"

"Właśnie od niego wyszedł ambasador Andropow" - donosił mi Szilágyi. "Premier poprosił go, by zaprotestował przeciwko inwazji wojsk. Stwierdził, że jest to pogwałcenie postanowień Paktu Warszawskiego i że jeśli oddziały sowieckie nie zostaną wycofane, rząd węgierski pakt ten wypowie."

"Co na to Andropow?"

"Sądzę, że kłamał jak najęty. Twierdził, że obserwowane ruchy wojsk są jedynie pewnego rodzaju 'luzowaniem oddziałów'."

Spytałem Szi lágyi ego, co dalej. Odpowiedź brzmiała niczym rozkaz: "Robić dalej swoje, jakby nic się nie stało. Organizujemy życie tak, jakbyśmy mogli żyć dalej. Organizujemy Węgry tak, jakby przed nami było tysiąc lat wolności."

W dwie dwie godziny później Imre Nagy wezwał ponownie sowieckiego ambasadora Andropowa i zakomunikował mu, że Węgry wypowiadają ze skutkiem natychmiast

wym Układ Warszawski. Rada Ministrów, której członkiem był Kádár, ogłosiła o 16.00 neutralność Węgier. O 17.00 poproszono do parlamentu Andropowa.

Zapewnił on Nagygó, że oddziały sowieckie opuszczają kraj ale zażądał, aby rząd węgierski wycofał złożoną już w ONZ skargę. Nagy zgodził się pod warunkiem, że wojska zostaną rzeczywiście wycofane.

Podczas tej rozmowy Kádár popadł w osobliwe uniesienie. Powiedział mianowicie Andropowowi, że jeśli do Budapesztu powrócą wojska sowieckie, to on sam "Wyjdzie na ulicę i podejmie walkę gołymi rękami." Andropow "udawał głupiego": "Ależ towarzyszu! To jakieś nieporozumienie! My chcemy kontynuować rokowania wojskowe."

"Rokowania" trwały dalej.

Tymczasem nasz plan był już gotów. Za 48 godzin na ulicach nie zobaczy się innych uzbrojonych ludzi, poza nowymi oddziałami porządkowymi. Żadne przedsiębiorstwo, żadne biuro, żaden sklep nie pozostanie zamknięty. Do pracy powrócą nauczyciele, uczniowie zasiądą znowu w ławkach. Kraj rozpocznie życie w wolności.

3 listopada zaprosił mnie do siebie Imre Nagy. Zdjął binokle i popatrzył na mnie swymi zmęczonymi oczami, zdradzającymi wiele nieprzespanych nocy. "Tam do was drobne pytanie: może przypadkiem wiecie, gdzie znajduje się teraz minister spraw wewnętrznych?"

Powiedziałem, że nie mam zielonego pojęcia. Już wcześniej było niemożliwością porozumieć się z Ferenccem Munnichem. Nagy popatrzył znacząco na Joszka.

"János Kádár, pierwszy sekretarz partii jest również nieuchwytny."

Nagy wyraził przekonanie, że Béla Király i ja zabąmy o porządek publiczny, ponieważ minister spraw wewnętrznych jest nieobecny a węgierska delegacja rządowa właśnie wyruszyła do głównej kwatery sowieckiej armii w Tokol, by uczestniczyć w ostatniej fazie rokowań. Twarz jego wyrażała niekłamana nadzieję, gdy mówił: "Nic nie może zakłócić atmosfery w kraju podczas tych rozstrzygających chwil!"

Drzwi do gabinetu Imre Nagya były, podobnie jak podczas narad, szeroko otwarte. Pojawiali się w nim różni ludzie, wkrótce wszedł Maléter, mianowany ministrem obrony i inni członkowie delegacji rządowej, którzy mieli się udać do sowieckiej kwatery głównej. Zapadło głębokie milczenie. Sowiecka kwatera główna odległa była o 25 km. od Budapesztu, chroniły ją silne oddziały lądowe i lotnicze.

Imre Nagy zobowiązał Malétera do telefonicznego meldunku natychmiast po przybyciu do Tokol a następnie do regularnych komunikatów co pół godziny o postępie rokowań. Potem uściślił dłoń wszystkim członkom delegacji. Oprócz Malétera byli to jeszcze: minister Ferenc Erdei, szef sztabu generalnego Generał István Kovács i pułkownik Szucs.

"Powodzenia, chłopcy!" rzekł na pożegnanie Nagy. "I przede wszystkim zachować zimną krew! Będę na was czekał i nie ruszę się z tego miejsca. Gdybym tak mógł zobaczyć was już z powrotem!"

Wróciłem znowu do prezydium policji, gdzie nieco później nadeszła wiadomość, że delegacja dotarła do Tokol i Maléter przekazał optymistyczne raporty o rokowaniach z sowieckim generałem Malininem. Wkrótce jednak na horyzoncie zgromadziły się ciemne chmury. Jostka powiadomił nas, że minister obrony Maléter nie daje znaku życia. Nakręciliśmy numer sowieckiej kwatery głównej w Tokol. Nikt nie podnosił słuchawki. Była północ, może nieco później. Király poprosił Nagya o instrukcje. Premier odparł spokojnie: "Wyslijcie parlamentarzysty na miejsce rokowań."

Király kazał sprowadzić czołg armii węgierskiej. Pewien adiutant pułku został wyznaczony na parlamentarzystę. Umówiliśmy się, że będzie nam przekazywał bez przerwy meldunki radiowe do czasu wypełnienia swego zadania, to jest do nawiązania kontaktów z węgierską delegacją rządową w Tokol.

Była to najbardziej dramatyczna seria meldunków radiowych, jaką kiedykolwiek słyszałem. Dowiedziałem się, że na ulicach stolicy panuje spokój. Przy koszarach Likiana czołg skręcił na południe. Straże

nas pozdrawiają... Jedziemy dalej ku wyspie Csepel."

Głos dowódcy czołgu ożywił się: "Opuszcilem wyspę Csepel, zbliżam się do Tokol... Napotykamy się na pierwsze czołgi sowieckie... Widać sowiecką kwaterę główną... Koszary są otoczone przez czołgi, jest ich może 150, może więcej... Podjeżdżamy do bramy... Zezwalają na wjazd... Obok biegną żołnierze... Teraz będę wysiadać i zamelduję się u komendanta."

Usłyszeliśmy turkot i jakieś rosyjskie słowa, następnie jakieś zakłócenia atmosferyczne, a potem już nic więcej.

"Halo sowa, tu krogulec - zgłoś się..."

Popatrzyliśmy na siebie przerażeni. Király zamruczał coś przez zęby i zadzwonił do Imre Nagy'ego. "Towarzyszu premierze, w Tokol coś nie gra. Prawdopodobnie sowiecka kwatera główna usiłuje odizolować rząd węgierski od ministra obrony narodowej i jego szefa sztabu generalnego."

Imre Nagy milczał kilka sekund. "Dziękuję. Proszę razem z Kopácsim przejąć obowiązki delegatów aż do czasu ich powrotu." Tu urwał i po chwili rzekł: "Mimo wszystko, towarzysze, pozwólcie sobie na dwie - trzy godziny snu."

Dochodziła trzecia nad ranem, gdy nadeszła śmierć. Śmierć na gęsienicach - sowieckie czołgi typu Józef Stalin. "Przejechały z piekielnym hałasem obok prezydium policji w kierunku ministerstwa spraw wewnętrznych."

Prawie równocześnie zadzwonił do mnie niejaki porucznik Szalma, jeden z oficerów rozwiązyanej przez Nagy'ego służby bezpieczeństwa. Aroganckim tonem rozkazał: "Jako zastępca komendanta gwardii narodowej macie bezwzględnie wydać rozkaz złożenia broni kontrrewolucjonistom w całym kraju!"

Ogarnęła mnie wściekłość. "Nie znam żadnych kontrrewolucjonistów, a wy nie macie prawa mi rozkazywać! Po czym rzuciłem słuchawkę. Rozmowie tej przysłuchiwał się generał Béla Király. Pojął, że rozpoczął się sowiecki atak. Zadzwonił do szefa rządu i poprosił

o rozkazy. Imre Nagy odpowiedział: "Nie jestem w stanie wydać rozkazu, by przejść do zbrojnego oporu."

Király: "Życzycie sobie, abym dalej przekazywał wam raporty." To się na nic nie zda, mój przyjacielu. Dziękuję. Wszystkim wam serdecznie dziękuję."

Imre Nagy odłożył słuchawkę. W tym samym momencie rozpoczęła się kanonada. Patonacje wstrząsały całym Budapesztem, sowiecka artyleria odpalała pociski co kilka chwil, rozświetlając niebo nad przedmieściami.

Moji adiutanci biegali od telefonu do telefonu, nie wiedząc co robić. Z koszar Kiliana gwardziści narodowi meldowali o atakach sowieckich jednostek pancernych. Czołgi ostrzelały z najbliższej odległości mury starych koszar.

"Kopácsi powiedz, co mamy robić!"

"Nie ma już żadnego urzędującego rządu. Każdy z nas walczy o honor i życie. Jeśli nic więcej nie da się zrobić - znikać."

Ci się nie poddali. Po wściekłych atakach pancernych koszar zbombardowano z powietrza. Mimo to trzymał się aż do wczesnego ranka 7 listopada. Sowieci znaleźli w niej tylko zabitych i ciężko rannych.

Z ulic Órudyi Vérmező zgłaszali się zrozpaczeni cywile: "Poślijcie natychmiast waszych ludzi z artylerią, Rosjanie wyrzynają wszystkich w pień, pośpieszcie się - na rany boskie!"

Sowieckie jednostki pancerne pustoszyły systematycznie całe kwartały ulic. Liczba zabitych cywilów szła w tysiące! Rannych nie można było odtransportować do szpitali, ponieważ uniemożliwiała to sowiecka artyleria i patrolujące ulice czołgi.

Co chwila dzwonili do mnie oficerowie odradzający się służby bezpieczeństwa. Teraz był to pułkownik Kucsera, jeden z najbardziej znienawidzonych funkcjonariuszy SB.

"Kopácsi, rozkażcie kontrrewolucjonistom złożyć broń. Tędy odmówiłem: "Uważajcie, Kopácsi! Towarzysze Kádárdowie się o waszej odmowie! On to sobie zapa-

mięta!''

Towarzysz Kádár! Jego postawa jest dla mnie po dziś dzień zagadką. Wczesnym rankiem tamtego pamiętnego dnia proklamował on utworzenie nowego rządu rzucając przytym obelgi na naród: "Terrorysty i bandyci kontrrewolucji, którzy mordują naszych braci, robotników i chłopów." Dalej wyjaśnił, że jego "rząd" poprosił rząd radziecki "oprzyjście z pomocą naszemu narodowi w zwalczeniu zgubnych sił reakcji i w przywróceniu spokoju i porządku w kraju."

Trudno sobie wyobrazić, że Kádár mógł być autorem takiego przemówienia. Według mnie, zostało ono napisane pod dyktando KGB. Czy Kádár był więźniem Sowietów? Ale jak wytłumaczyć jednoczesne zniknięcie ministra spraw wewnętrznych Münnicha i wielu stalinowców, którzy figurowali jako współsygnatariusze pod proklamacją Kádára?

Kádár był ofiarą stalinizmu i walczył wspólnie z nami przeciwko ekscesom SB. Czy ten człowiek byłby w stanie wykonać taką wolę i oddać się w służbę najbardziej złowieszczej, sowieckiej tajnej policji? To przekraczało moją wyobraźnię.

Obserwowałem chmury dymu nad różnymi punktami miasta. Po co mam pozostawać dalej na swoim posterunku? Na co jeszcze można liczyć? "Pozostać na swoim posterunku" - historia ma kłopoty z interpretacją tej formuły. W Pompei znaleziono postać strażnika, który skamieniał pod pokładem lawy ściskając w dłoni lancę. Echnierz ten mógł przecież uciec. Nie zmieniłoby to niczego w momencie wybuchu Wezuwiu, sza.

Rozmyślenia moje przerwał dzwonek telefonu. Zgłaszał się jugosławiański attaché wojskowy Vukmirović, z którym parę miesięcy przedtem trochę się zaprzyjaźniłem.

"Sandor, musisz koniecznie z żoną przyjść do naszej ambasady, twoja córka Judith jest tutaj."

Nie pytałem o nic, natychmiast bowiem zrozumiałem co zaszczyt. Nasza Judith została zabrana rano przez

naszego przyjaciela Jozskę Szilágyi - zaufanego premiera - do gmachu parlamentu. A więc Imre Nagy udał się ze swymi najbliższymi współpracownikami do ambasady jugosławiańskiej.

Nie tylko zatem Judith czekała na mnie: w gmachu ambasady jugosławiańskiej znajdowało się kierownictwo nowej partii komunistycznej - z wyjątkiem mnie i Jánosa Kádára, który był u Sowietów. Było ich tam pięciu: Być może rozstrzygać kwestie partyjne, konieczna była moja obecność.

Około 9-tej następnego ranka - a było to 5 listopada - zdecydowaliśmy się wyruszyć. Po raz pierwszy od owego fatalnego 23 października zdjąłem z siebie mundur i nałożyłem cywilne ubranie. Z moją żoną Ibolya, przebywającą ostatnio w prezydium policji, i z moim adiutantem wyszedłem przed bramę. Dogonił mnie mój szofer Gyuri. "Zapomnieliście pistoletu!" "Sprawdził magazynek i wręczył mi broń. Przyniósł też szal dla Ibolya. Tak to wyruszyliśmy w drogę do jugosławiańskiej ambasady. Przekradając się wzdłuż murów kamienic natknęliśmy się w pobliżu sowieckiej ambasady na wrogi patrol. Zamiast spodziewanego "stój!" usłyszeliśmy słowa serdecznego powitania. Jeden z oficerów zbliżył się do mnie z otwartymi ramionami.

"Towarzyszu Kopácsi - serdeczne dzięki za przybycie! Towarzysz ambasador sowiecki a także towarzysz János Kádár chcieliby z wami porozmawiać. Chodźcie, pójdziemy natychmiast do nich!"

Patrol otoczył nas ze wszystkich stron a sowieccy oficerowie w pozach gościnnych gospodarzy podeszli ku bramie ambasady. Na rozległym podwórzu roziło się od żołnierzy w hełmach z pistoletami maszynowymi w dłoniach. Straż zaryglowała bramę i dała nam znak, że mamy czekać.

Za chwilę podszedł jakiś oficer, przywitał się ze mną i wyjaśnił, że mógłby nas podwieźć, bo właśnie udaje się do jednego z punktów koncentracji armii sowieckiej. Tu wskazał na stojący opodal samochód pancerny. Wsiadliśmy, moja żona i adiutant z tyłu, ja

obok kierowcy. Gdy oficer zamierzał wsiąść do jednego z czołgów, zerwałem się na równe nogi i krzyknąłem: "Stać, zachodzi tu jakieś niepożądanie!"

W tym momencie pojawił się ambasador Andropow, bez palta i kapelusza w samym tylko dobrze skrojonym, ciemnoniebieskim garniturze. Przywitał Ibołę skinieniem głowy i cichym głosem zapytał, czemu krzyczę. Ibołę poprosiła adiutanta o dokładne przetłumaczenie jej słów: nie chcieliśmy się widzieć się z Kádárem, szukamy naszej córki, znajdującej się w ambasadzie jugosławiańskiej.

Andropow kiwnął głową, że zrozumiał. Jednym ruchem dał znak oficerowi, że nie ma nic przeciw temu. Oficer zanurzył się we włazie czołgu. Czołg na przedzie, potem nasz samochód pancerny, z tyłu jeszcze jeden: "dó-żef Stalin" - tak oto wyjechaliśmy za bramę.

Wkrótce zatrzymaliśmy się przed gmachem ambasady jugosławiańskiej, otoczonej ze wszystkich stron sowieckimi czołgami. Kłapa wieżyczki pierwszego czołgu uniosła się i oficer krzyknął kilka słów. Tłumacz przełożył nam: "On mówi: 'Kobieta może wysiść'."

Na parę sekund zapanowała martwa cisza. Nagle Ibo-
lę krzyknęła tak przeraźliwie, że zdrętwiałem: "Nie!
Nie! Zostaję z moim mężem!"

W wieżyczce czołgu naradzano się, wreszcie oficer nakazał dalszą jazdę. Zawieziono nas do koszar Sascha-
lom. Tam oddzielono nas od innych, dwóch żołnierzy za-
brało mi broń i poprosiło do otwartych drzwi jakiegoś
sali. Nie oczekiwał mnie tam János Kádár ale ponad tu-
zin sowieckich generałów. Wśród nich, w teatralnej po-
zie, ów oficer z jadącego przodem czołgu. Zrzucił te-
raz płaszcz i mogłem stwierdzić, że nosi dystynkcje
generała. Powoli, jak na zwolnionym filmie, wyciągnął
niemiecki pistolet z drewnianego futerału.

"Poznajesz mnie, ty Łajdak?" - wrzasnął.

Wybiekotałem przeczę. Jedną ręką skierowałem kroc-
ku mnie, drugą ściągnął czapkę z głowy i rzucił na
biurko. Blond sploty opadły mu na czoło. Teraz go po-
znałem: był to ów "nowy towarzysz-sowiecki doradca z

Moskwy, którego widziałem pierwszego dnia powstania, podczas narady w ministerstwie spraw wewnętrznych.

"Ty Łajdaku! Jestem Iwan Aleksandrowicz Sierow, członek KC KPZR, przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego /KGB/ przy Radzie Ministrów ZSSR. Podczas posiedzenia 23 października znieważyłś mnie. Każę cię powiesić na najwyższym drzewie Budapesztu."

Zdałem sobie sprawę, że mój los jest przesądzony. Ale nie mogłem poddać się bez oporu. "Protestuję! Chroni mnie immunitet, jestem posłem do węgierskiego zgromadzenia narodowego!" Wyciągnąłem moją legitymację poselską i wręczyłem ją Sierowowi. Ten rzucił dokument na podłogę i kopnął go do kąta. Schował broń i ryknął na mnie: "Zwariowaliście! Trzeba było wcześniej zejść z posterunku i przyjść do nas! Wtedy zrobilibyśmy z was ministra!"

Aluzja do postawy Kádára była jednoznaczna, podobnie jak niwyszukany styl, w jakim oberintendent zdobytego kraju przedstawił sposób mianowania i odwoływania namiestników.

Ruchem ręki Sierow nakazał straż, by mnie pojmała. Wepchnięto mnie do pomieszczenia z dziesięcioma łózkami, a drzwi zamknięto. Z podwórza koszar dochodziła co dziesięć minut salwa. W przerwach usuwano prawdopodobnie zwłoki i ustawiano przed plutonem egzekucyjnym następne ofiary. Postanowiłem sobie, że odmówię nałożenia opaski na oczy.

Po pewnym czasie szczęknęły zamki i dwóch żołnierzy wprowadziło moją żonę. Sprawiała wrażenie całkowicie załamanej. Patrzyła przerażona na mnie. Jakiś generał nakłaniał ją brutalnie do rozwodu. Powiedział: "Niech pani wystąpi o rozwód. Kiedy małżonek zostanie stracony, pani nic się nie stanie."

Egzekucje trwały także następnego dnia. W miescie walki były jeszcze w pełnym toku, dopiero 8 listopada dało się zauważyć pewne uspokojenie. Przed południem 9 listopada sowiecki porucznik wyprowadził nas na podwórze i wskazując na samochód pancer.

ny powiedział: Wsiadajcie, czekają na was wasi przyjaciele."

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, spotkaliśmy w nim, ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu, ministra obrony Pála Malétera i innych członków delegacji rządowej w pełnym składzie: szefa sztabu Istvána Kovácsa, pułkownika Szuccsa i Ferencza Erdái, członka gabinetu.

Wykorzystaliśmy ten moment do wymiany najnowszych wiadomości. Maléter i inni nie wiedzieli jeszcze, że rząd Imre Nagyeó postanowił szukać ochrony w ambasadzie Jugosławii. Oni natomiast, jako węgierska delegacja przybyli do sowieckiej kwatery głównej w Tokol około 22.30. Już podczas pierwszej rundy rokowań uzgodniono najważniejsze punkty, pozostały jeszcze do omówienia ostatnie szczegóły związane z ewakuacją sowieckich oddziałów, jak mowy pożegnalne, kwiaty dla wojska, późniejsze odtransportowanie uszkodzonego sprzętu wojskowego. Panowała atmosfera pełna serdeczności; Węgrzy i Rosjanie wznosili toasty za pomyślność całego przedsięwzięcia.

Około północy do sali rokowań wkroczył nagle generał Sierow z kilkoma oficerami sowieckiej służby bezpieczeństwa i oświadczył, że członkowie węgierskiej delegacji rządowej są aresztowani. Początkowo trzymano ich w Tokol w pojedynczych celach, 8 listopada przewieziono ich do koszar Sashalom. Teraz siedzieliśmy razem w rosyjskim samochodzie pancernym odbywając podróż przez zniszczony Budapeszt.

Dojechalśmy wreszcie do sowieckiej ambasady. Zwykle wchodziliśmy swobodnie po schodach prowadzących do okazałej willi, gdzie bywaliśmy serdecznie przyjmowani. Teraz zostaliśmy wrzuceni jak zwierzęta do piwnicy przerobionej na więzienie. Skąd mogliśmy wiedzieć, że w tych dyplomatycznych budynkach korzystających z prawa eksterytorialności, mieści się więzienie?

Po obu stronach uformowanego w literę L korytarza było osiem dużych cel mieszczących 10-12 więźniów, wyposażonych w drewniane prycze bez materaców

i koców. Strażnikami byli uzbrojeni po zęby marukliwi żołnierze i oficerowie z niebieskim otokiem KGB na czapce. Ibelya i ja zostaliśmy odłączeni od pozostałych więźniów. Nie wiedzieliśmy nic o naszej córce, o naszych przyjaciółach, nie mieliśmy pojęcia co wię z nami stanie. Raz dziennie prowadzono nas do toalety. Na górze sala balowa, cztery metry niżej Gułag - jakże wierny obraz sowieckiego panowania.

Drugiego dnia pobytu w więzieniu usłyszeliśmy z ulgą basowy głos Pála Malétera. A więc był on wśród żywych! Jego głos uspokoił nas, gdyż stale dochodziły do nas odgłosy salw, Egzekucje przeprowadzano na podwórzu. Czy byli to nasi chłopcy pochwycony na ulicy, czy rozstrzeliwali własnych ludzi?

Czwartego dnia przeniesiono mnie do więzienia Föulca. Przed wybuchem powstania więzienie to było oficjalnym zakładem karnym SB. Znalazłem się w pojedynce: pryzma bez przykrycia, betonowa podłoga, kraty w oknie wzmocnione potrójną siatką, straszliwa ciasnota. To wszystko, miałem do zawdzięczenia 'mojemu reżimowi', któremu wiele lat wiernie służyłem.

Nieco później zorientowałem się, że znalazłem się na oddziale skazanych na śmierć przywódców wojskowych. W sąsiednich celach siedzieli Maléter i członkowie węgierskiej delegacji rządowej.

Już w pierwszej godzinie mego uwięzienia zostałem zaprowadzony na przesłuchanie. Pułkownik Karlissow, sowiecki specjalista od 'problemów narodowpściowych', siedział w fotelu śędziego śledczego.

"Chcieliście ujść sowieckiej sprawiedliwości?"

Odparkłem, że jako obywatel węgierski, nie mam nic wspólnego z 'sowiecką sprawiedliwością'. Karlissow zachichotał szyderczo.

"Mylicie się! Jako oficer wywiadu tajnej policji jugosławiańskiej z zadaniem szpiegowania Związku sowieckiego, podlegacie naszej jurysdykcji wojskowej. I jako przestępca działający na szkodę naszego miłującego pokój narodu odpowiadacie będziecie przed naszym sądem!"

Karlissow wyciągnął jakieś akta: jugosłowiańska służba bezpieczeństwa zwerbowała mnie jako szpiega Tity przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Mój bezpośredni szef nazywał się Vukmirović.

"Najlepiej będzie jak się przyznacie. Zebrałiśmy tu wszystkie dowody" - powiedział na zakończenie. Kiedy zacząłem protestować przeciw tak kiepsko wymyślonemu oskarżeniu, dał mi godzinę na zastanowienie się. Potem przeprowadzono mnie znówu.

Gniewnym głosem Karlissow powtórzył swoje pytanie: "Przyznajecie się do szpiegostwa?" Spokojnie powtórzyłem swoją poprzednią odpowiedź: "Nie jestem żadnym szpiegiem". Wtedy Rosjanin nacisnął jakiś przycisk na biurku. Dwaj podoficerowie narzucili mi rodzaj smyczy na oba przeguby rąk i wyprowadzili do wąskiego przejścia.

Przejęcie to wiodło do korytarza w kształcie litery T. Nagle obaj żołnierze uskoczyli na bok a ja stanąłem z rozkrzyżowanymi przez naciągnięte smycze ramionami w środku korytarza na wprost lufy karabinu maszynowego. Za karabinem leżał na brzuchu sowiecki żołnierz.

Żołnierz trzymał oko na celowniku, palec na spuście. To był ten koniec, który przyobieczał mi Sierow. Zaschło mi w ustach. Czemu jednak nie zawieszono mi oczu? Żołnierz ciągle celował, nie oddając strzału. Zacząłem krzyczeć po rosyjsku: "Ognia, ognia, ognia!!!"

Dopiero w celi odzyskałem spokój. Generał Sierow miał więc do wypełnienia inne zadania, zanim będzie mógł spełnić swą obietnicę. Na razie Maléter i ja otrzymaliśmy jedyne w swoim rodzaju dzieło pod tytułem "Akt oskarżenia", Żona moja została wypuszczona.

Później od jednego z wartowników dowiedziałem się, że żona i nasza dziewięcioletnia córka utrzymują się ze sprzedaży obwarzanków w budapeszteńskim COO. Wiodło im się i tak lepiej niż żonom i dzieciom członków rządu Imre Nagy'ego, które przewieziono do Rumunii w momencie, gdy János Kádár zagwarantował całej grupie Nagy'ego bezkarność. Jak wyjaśnił Kádár, be-

działanie lepiej dla Imre Nagye'go i jego bliskich, jeśli na pewien czas uda się wyjść poza granice kraju.

Odsiedziałem już rok w mojej celi, kiedy okazało się, że węgierski premier Imre Nagy również znajduje się w więzieniu Fő-utca. Wyszło to na jaw przy okazji dziwnych prac: montowano urządzenia głośnikowe i aparaturę oświetleniową. W tym czasie wolno mi było po raz pierwszy spotkać się z moim adwokatem Bajorem.

Pomieszczenie było naszpikowane mikrofonami. Strażnik, podoficer SB, miał się za Boga wie jak cwanego, śledząc każdy ruch naszych ust.

"Cóż pan tak przebiera palcami?" - spytał podejrzliwie adwokata.

Na to Bajor: "Któż nie przebiera palcami?" Jestem tu po to, by bronić jednego z głównych oskarżonych w dużej/zaakcentował to słowo bardzo wyraźnie/sprawie i ..."

Żołnierz przerwał mu: "Proszę milczeć! Zabraniam panu mówić!"

Bajor: "Ma pan coś przeciwko przymiotnikowi 'duży'? Pojąłem, o co idzie. Po węgiersku 'Nagy' znaczy również 'duży'."

Żołnierz ryknął: "Przerywam posiedzenie!"

Adwokat Bajor podniósł się bez słowa. "ebrał swoje akta demonstracyjnie zaginając kciuki i rozcapierzając resztę palców. Nie potrzebowałem żadnych wyjaśnień: Bajor przewidywał proces z udziałem ośmiu oskarżonych. Zatem Rosjanie przywieźli Imre Nagye'go z Rumunii i zamierzali nas wszystkich - Nagye'go, Maleterę i mnie - załatwić za jednym zamachem!"

Niemniej jednak, jeszcze przed samym tajnym procesem, znalazły się powody, by pozbawić życia jednego z obwinionych. Delegowany przez Kreml reżyser procesu Nagye'go, pułkownik Dorys Szumilin, uznał śmierć ministra Gęzy Losonczy'ego za konieczną, ponieważ był on "nie do pokazania" przed sądem. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Losonczy postradał zmysły.

Zdrowie Losonczy'ego ucierpiało już podczas wspólnego z Kádárem pobytu w Komorze tortur, zaordynowanej przez Rákosi'ego. Oprócz gruźlicy prześlado-

wąły go stany paranoiczne. Wyobrażał sobie, że KGB opo-
nuje cały świat a jego uwolnienie z czteroletniego
wzięcia to tylko idiotyczny żart Rosjan i węgiers-
kiej służby bezpieczeństwa. Teraz znowu go zamknięto
pod tym samym co za Stalina wyssanym z palca zarzu-
tem: "Zdrada ruchu robotniczego" i wysługiwanie się
zachodniemu imperializmowi."

Kiedy na kilka dni przed procesem odczytano nam
protokoły śledztwa, dowiedzieliśmy się od innych ob-
winionych, jak wyglądały odpowiedzi Losonczy'ego na
pytania urzędników śledczych. Były identycznie z rytu-
alnymi zeznaniami na rosyjskich procesach pokazowych:
"Przyznaję, że byłem szpiegiem na żołdzie Józefa Tity
i Eisenhowera. Przyznaję, że knułem faszystowską kon-
terrewolucję przeciwko mojemu narodowi i przeciwności
sławnego Związku Sowieckiego, ojczyzny robotników
tego świata."

Losonczy był więc już nieprzydatny, przynajmniej dla
Szumilina. Z pewnością przed sądem dawałby bezładne od-
powiedzi, których nikt nie chciałby słuchać, bo budzi-
łyby ponure wspomnienia i za bardzo pachniałyby pro-
cesem pokazowym.

Mord popełniono na naszym piętrze, kilka kroków od
mojej celi. Było to pewnego chłodnego grudniowego
wieczoru u schyłku 1957 roku. Kilkunastu żołnierzy
zebrało się przed celą Losonczy'ego. Otwarto z hałasem
metalowe drzwi, posłyszałem wołania o pomoc, zduszone
krzyki, zgrzyt pryczy po betonowej podłodze i głośny
jęk: "Mordercy! Faszyci! Mordercy!". Były to ostatnie
słowa węgierskiego ministra stanu Losonczy'ego.

Próbowano przygotować nas do procesu nowego ty-
pu. Nową falę reprezentował kapitan István Metelkó.
Według stalinowskiej recepty Szumilin ustalił zasad-
nicze elementy scenariusza: broń z Zachodu, powstało
sterowane zdalnie przez rewanżystów z Niemiec Zachod-
nich i przez Pentagon.

Do tego śledztwa nowego typu konieczne było jednak
przynajmniej minimum dowodów winy. Dla stworzenia
choć trochę wiarygodnej historii o zachodniej broni
i zdalnym sterowaniu powstaniem, brakowało nawet tego

minimum. Doprawdy, Szumilił mi! z!ych doradców.

6 lutego 1958 r. odbył się w sali korytarza więziennym obok mnie znaleźli się: minister obrony Pál Maléter, dziennikarz Miklós Gimes, sędziwy Zoltán Tildy - były prezydent republiki, eks-pastor i minister stanu w gabinecie Imre Nagy'ego - dalej Miklós Vésárhelyi, kolega Gimesa, Ferenc János, zięć Nagy'ego, Ferenc Donáth - doradca od spraw rolnych i József Szilágyi. W końcu sam Imre Nagy.

Przez labirynt korytarza zaprowadzono nas na salę sądową. Przewodniczący sądu Zoltán Rado wezwał nas abyśmy mówili głośno i wyraźnie, ponieważ słabo słyszy. Zwróciło to naszą uwagę na mikrofon nad jego głową, wetknięty w nowy emblemat narodowy. Oskarżenie reprezentował József Szalay, pierwszy zastępca prokuratora generalnego, dystyngowany siwowłosy pan, obdarty ostrym głosem.

Oskarżono nas o utworzenie organizacji i uknuć spisku w celu zburzenia siłą legalnego porządku węgierskiej republiki ludowej. Imre Nagy został dodatkowo oskarżony o zdradę stanu, Maléter i ja o bunt. Już przy ustalaniu personaliów doszło do pierwszych incydentów.

"Zawód?"

Imre Nagy wstaje i wyjaśnia spokojnym tonem? Premier rady ministrów republiki węgierskiej?"

Przewodniczący Rado natychmiast poprawia, zwracając się do sekretarza sądu: "Były premier rady ministrów."

Imre Nagy zdjmuje binokle: "Nic o tym nie wiem. Moja nominacja na to stanowisko pochodzi z 24 października 1956 r. Nominacji tej nie zakwestionował żaden oficjalny organ."

Przewodniczący sądu milczy skonsternowany. W końcu mówi, prawie przepaszając: "Zajmiemy się tym problemem we właściwym czasie."

Następnie pyta Imre Nagy'ego, czy przyznaje się do winy.

Nagy: "Nie! Jestem niewinny!"

Niewiele także wskórał z Maléterem. Najgorzej jednak

roszło mu, gdy wezwał Jozskę Szilágyi'ego. Ten zamiast podać swoje personalia, zagrzmiął donośnym głosem: Pannie przewodniczący, chciałbym zadać panu dwa pytania! Pytanie pierwsze: podczas dochodzenia mówiono ciągle o "Grupie Imre Nagy - Losonczy". Chcę wiedzieć, gdzie jest mój przyjaciel i towarzysz Géza Losonczy. Pytanie drugie: co się stało z moją żoną i trojgiem dziećmi, które zawleczono do Rumunii?"

Po długim milczeniu Rado zamruczał: "Na pytania oskarżonego padnie odpowiedź we właściwym czasie. Czy przyznajecie się do winy?"

Szilágyi: "W tym kraju jest tylko jeden winny a jest nim zdrajca János Kádár."

Następnego dnia przewodniczący Rado sprawiał wrażenie wyczerpanego. Zmęczonym głosem odpowiadał na pytanie mojego przyjaciela Jozski. "Oskarżony Losonczy zmarł w trakcie śledztwa. Według orzeczenia lekarskiego przyczyną zgonu była niewydolność płuc."

Na temat losu uprowadzonych do Rumunii żon i dzieci przewodniczący nie powiedział ani słowa. Oskarżeni nie dowiedzieli się nic o swoich bliskich, a ci zostali powiadomieni o procesie i wyroku dopiero pół roku później.

Ledwie otwarto posiedzenie, już, najwyraźniej cierpiący przewodniczący musiał je dwukrotnie przerwać. Za trzecim razem prokurator zaproponował odroczenie procesu. Propozycja została przyjęta. Przewodniczący Rado zniknął na zawsze z naszego pola widzenia.

Ustalono, że mój przyjaciel Jozska Szilágyi musi bezwzględnie umrzeć. Czy proces tajny, czy nie - ten impulsywny i nie poddający się naciskom człowiek nie mógł w żadnym przypadku brać w nim udziału. Proces jego odbył się 23 marca 1958 r. w jakimś biurze które posłużyło jako sala sądowa. Wyrok wydany późnym wieczorem: kara śmierci przez powieszenie. Wczesnym rankiem 24 marca 1958 r. zaprowadzono go pod szubienicę.

W początkach czerwca zaczęto nas w więzieniu

Pó-utca traktować inaczej. Strażnicy przynosili nam wyszukane dania z ekskluzywnych restauracji - rozpoczęliśmy prawdziwą kurację tuczącą. Czwartego czy piątego dnia tych lukullusowych uczt strażnik przyniósł do wypicia kieliszek napełniony podejrzanie wyglądającym płynem, bez smaku. W kilka minut później ziemia zakolysała mi się pod nogami - zapadłem w sen.

Rankiem strażnik musiał mnie budzić. Podał mi znowu ten sam płyn i rzekł: "Pijcie, jutro otwarcie procesu. Na śniadanie dano śmietanę, wkrótce potem zaprowadzono mnie do mego obrońcy.

Adwokat Bajor przybrał zagadkową minę, przyjrzał mi się badawczo i rzekł zniżając głos: "Powinniśmy przyznać się do winy."

László Bajor był prawym i szanowanym człowiekiem. Jeśli doradzał mi teraz coś tak nieoczekiwanego, jak zmianę głównej linii obrony, musiał mieć ważne ku temu powody.

"Ale inni? Co robią inni?"

"Proszę się uspokoić, nie jest pan jedynym. Także János, zięć Nagy'ego i Donáth, który jako doradca Nagy'ego jest z nim blisko związany, przyznają się do winy. Towarzysze Nagy i Maléter uczynią inaczej. Wiem jednak, że ani panu ani Jánosiemu ani Donáthowi nie będą mieli za złe, jeśli przyznacie się do winy."

Wpadł strażnik: "Przerywam rozmowę!"

Bajor: "Przyjacielu mój, jako obrońca pułkownika Kopácsiego, jestem upoważniony przez najwyższe kierownictwo partii, by przekazać mojemu klientowi dyrektywy. Przypomnijcie mi wasze nazwisko i stopień, abym mógł o całej tej sprawie powiadomić towarzyszy Kádára i Münnicha."

Początkowo pomyślałem sobie, że Bajor posuwa się za daleko! Wreszcie pojąłem, o co idzie. Jego słowa nie były przeznaczone dla strażnika, lecz dla mnie! Uchybieniem podoficera SB Kádár i Münnich nie będą się przecież przejmować. Z nieznanych mi powodów obaj

przywódcy węgiersey zajęli się osobiście moim losem.

W dziesięć minut później zaprowadzono mnie do Metelki. "Posłuchajcie Kopácsi - zaczął. Nikt od was nie wymaga, abyście obciążali waszych przyjaciół. Partia nie oczekuje od was niczego innego, oprócz przyznania się do winy."

"Ale do jakiej winy mam się przyznać?"

"Ze nie zrozumieliście, co zdarzyło się w październiku 1956 r."

"O nie... nie jestem już dzieckiem."

Metelka podsunął się bliżej. "Przestańcie grać rolę bohatera! To wszystko, czego od was wymagamy. W ten sposób wyjdziecie z tego z życiem."

Nadeszły strażę, odprowadzono mnie do celi. "Wyjdziecie z tego z życiem..." Czy mam prawo odrywać bohatera, skoro mój bohater, mój wzór do naśladowania Imre Nagy, tego odemnie nie wymaga? Zresztą moje ideały prysły jak bańka mydlana... Strażnik przyniósł napój, łyknąłem bez oporu.

Także w dniu rozpoczęcia procesu otrzymałem go znowu. Tym razem z pogroźką. "Wypijcie, inaczej wam to wstrzykniemy!" Sala sądowa była duży pokój służący normalnie do przesłuchań. W czterech rogach ustawiono silne reflektory, obok terkotała kamera filmowa. W więc to była przyczyna owej kuracji tuczącej - proces był filmowany!

Sowieci zorganizowali jednocześnie dwa przedstawienia: jedno rozgrywało się tu na sali, gdzie oskarżonymi byli członkowie rządu Nagy'ego, drugie w pomieszczeniu sąsiednim gdzie, na ich własne życzenie, zajęły miejsca marionetkowe figury obecnego kierownictwa: Kádár, Munnich, Ferenc Nezsval.

Postawiono mnie w świetle reflektorów bez kajdanek, przewodniczący sądu Vida stawiał pytania niczym profesor podczas egzaminu.

"Zostaniecie najpierw przesłuchani jako świadek w sprawie oskarżonego numer jeden, Imre Nagy'ego. Jaki wpływ wywarła na was polityka Nagy'ego, i rękopis, który od niego otrzymaliście /oralność i etyka/?"

Wyjaśniłem, że rękopisu nie otrzymałem od Imre Nagy'ego osobiście. Studium to zostało przygotowane dla członków KC partii i zostało im doręczone drogą pocztową.

"Tylko bez krętałów! Mówcie jaki wpływ wywarł na was ten manuskrypt!"

"Było znaczące!"

"W jakim sensie?"

"W sensie mojej późniejszej aktywności"

Vida był zadowolony, to właśnie chciał usłyszeć.

"Dlatego zapewne rozdaliście 20 tysięcy karabinów kontrrewolucyjnym bandytom!"

Następnie przewodniczący opisał powiązania z Imre Nagy'm: "Aby dojść do władzy, były prezes rady ministrów Imre Nagy nawiązał kontakty z osobistościami na kluczowych stanowiskach, na przykład z byłym szefem policji Budapesztu, jednym z dowódców sił zbrojnych stolicy. Imre Nagy - chcecie coś powiedzieć?"

"Tak. Pytanie do świadka."

Nagy podniósł się. "Mieiliście wówczas, przy lekturze wspomnianego eseju, wrażenie, że jego treść w pełni odpowiada faktycznej sytuacji?"

Ja: "Tak. Treść pokrywała się całkowicie z moimi poglądami politycznymi."

Nagy: "Odkryliście w tym tekście jakiś ukryty sens, z którego moglibyście wyciągnąć wniosek, że dążę do władzy politycznej i to jeszcze w nielegalnej formie?"

Ja: "nie".

Następnego dnia powołano cały szereg świadków. Większość zeznań nie dotarła do mej świadomości, tak bardzo byłem odurzony owym środkiem uspokajającym! W końcu głos oddano oskarżycielowi.

Prokurator Szalay wysilił się, by udowodnić, że Imre Nagy i my tworzyliśmy od 1955 r. sprzysiężenie i w "sojuszu z reakcją zarówno krajową jak i zagraniczną" spowodowaliśmy wybuch kontrrewolucji, "w celu przywrócenia w kraju władzy starego reżimu"! Zażądał dla Imre Nagy'ego, Péla Malétera i dziennikarza

Miklósa Gimesa kary śmierci.

W sobotę 14 czerwca 1958 r. po raz ostatni głos zabrali oskarżeni. Oto słowa Imre Nagy'ego:

"Dwukrotnie starałem się bronić godności słowa "socjalizm" w naszym kraju - w 1953 i w 1956 roku. Za pierwszym razem wystąpił przeciwko mnie Rákosi, za drugim - cała potęga wojskowa Związku Sowieckiego. Dzięki temu pełnemu zawziętości i nienawiści procesowi muszę oddać życie za moje idee. Czynię to chętnie, po tym coście zrobili, wszystko straciło jakąkolwiek wartość. Jestem przekonany, że historia wyda wyrok na moich morderców. Jedno tylko przejmuję mnie wstrętem: że kiedyś rehabilitować mnie będą ci, którzy mnie zabijają."

Około godziny 18 dnia 15 czerwca 1958 roku poprowadzono nas znowu przez labirynt korytarzy.

"Trybunał Narodowy! W imieniu klasy robotniczej i całej pracującej ludności sąd skazuje Imre Nagy'ego, Pála Maléter'a i Miklósa Gimesa na karę śmierci..."

Kara dożywotniego więzienia dla Sándora Kopácsiesiego. Dwanaście lat dla Ferencza Donátha, osiem lat dla Ferencza Jánosiego, sześć lat dla Zoltána Tildy, pięć lat dla Miklósa Vászárhelyi.

Następnie odczytywano sentencję wyroków, pozwolono nam usiąść. Każdy był swymi myślami daleko. Nikt nie przysłuchiwał się paplaninie urzędników. "Wyrok nie podlega apelacji! - zakończył Vida. Potem zawołał: "Oskarżony Imre Nagy! Czy chcecie prosić o łaskę?"

"Nie."

Tej samej odpowiedzi udzielił Maléter. Skazani na śmierć zostali odprowadzeni w pierwszej kolejności. Ostatnie spojrzenie na przyjaciół i już zniknęli za drzwiami na zawsze.

W poniedziałek o świcie 16 czerwca 1958 roku premier Imre Nygy, jego minister obrony Pál Maléter i redaktor Miklós Gimes zostali powieszani na podwórku tak zwanego małego karceru w centralnym więzieniu Budapesztu. Wśród więźniów krążyły opowieści, że Rosjanie musieli Kádára do obecności przy egzekucji.

Zwłoki pochowano na więziennym cmentarzu. Na grobach nie ma żadnych nazwisk, oznaczone są jedynie zakodowanymi liczbami, których nie można rozszyfrować bez tajnego rejestru. Cmentarza, podobnie jak i całego więzienia, pilnuje wojsko.

25 marca 1963 roku zostałem zwolniony na mocy generalnej amnestii, którą zarządził Chruszczow z okazji polityki odprężenia i swego flirtu politycznego z Kennedym.



Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ
ukazały się między innymi:

Władysław Bartoszewski	POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE / 1939-45 /
Józef Czapski	WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE
Jan Nowak	KURIER Z WARSZAWY
Marek Tarniewski	POCHODZENIE SYSTEMU
-	ZERODNIA KATYŃSKA W ŚWIEŁLE DOKUMENTÓW
-	DWIE ROZMOWY - MOSKWA 1960 /stenogram rozmów polsko-chiń- skich/
-	PRAWDA /wybór artykułów z ra- dzieckiego dziennika z wrzes- nia 1939 r./
-	STOSUNKI SOWIECKO-NIEMIECKIE /październik 1939 - czerwiec 1941/ DOKUMENTY MSZ I MRZESZY

ponadto: proza
 poezja
 eseistyka
 publicystyka

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ
ukazują się kwartalniki literackie ZAPIS i PUIS oraz
ZESZYTY i WYKŁADY TOWARZYSTWA KURSÓW NAUKOWYCH

-
- 1 NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA pragnie przełamywać pań-
stwowy monopol wydawniczo-informacyjny
- 1 NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA nie reprezentuje żadnego
kierunku politycznego, chce służyć różnorod-
nym inicjatywom twórczym
- 1 NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA spełni swoje zadania je-
śli społeczeństwo udzieli jej poparcia, jej
powodzenie zależy od dostarczonych nam tek-
stów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu sprzętu
i materiałów poligraficznych, pomocy finan-
sowej
-

Druk. W.W.B.D.im.J.P. Warszawa, lipiec 1980 r.
Dziewięćdziesiąta pierwsza pozycja wydawnicza NOWEJ